

STAR  PARTSNaprawa
komputerów
w domu u Klienta 732 86 36 48Codziennie nowe informacje na www.echogorzowa.pl

ECHO GORZOWA.PL

• MIESIĘCZNIK BEZPŁATNY •

• KWIECIEŃ 2019 • NR 4/2019 (52)

Wenecja była restauracją z dancinikiem oraz klasą

Po słynnej restauracji pozostały ślady oraz wspomnienie i żal, że już nie ma tej knajpki na wodzie. Więcej na s. 20.



Fot. Kazimierz Nowik

Brakuje pieniędzy

To już chyba koniec naszego snu o potędzie.

Mówi o tym, acz w bardzo oględnych słowach, sam prezydent Jacek Wójcicki, kiedy zapowiada weryfikację planów inwestycyjnych. Za grubo ponad miliard złotych mieliśmy wyremontować i zbudować kawał starego i nowego Gorzowa. Ceny jednak poszły tak bardzo w górę, że z wielu przedsięwzięć trzeba po prostu zrezygnować, a inne mocno okroić.

Już wiadomo, że najbliższych latach nie będzie nowego magistratu w starym ratuszu przy Obotryckiej. A takie piękne były plany zagospodarowania całego śródmiejskiego kwartału... Nie pojawią się nowe Schody Donikąd. A tyle było różnych pomysłów i koncepcji... Nie bardzo też wiadomo jakie będą dalsze losy obiektów po dawnej Przemysłowce. A miało być centrum pracy biurowej dla urzędników oraz kombinat miejskiej kultury... Ciągłe czekamy także na powstanie Centrum Edukacji Zawodowej i Biznesu na poszpitalnym terenie przy Warszawskiej, ale mimo kilku przetargów nadal nic się nie dzieje. A według pierwotnych

zamysłów już jesienią tego roku mieli pojawić się tam uczniowie... Ważą się również losy budowy hali widowiskowo-sportowej przy Słowiance, która kosztować może ponad 100 milionów, a miasto nie ma zarezerwowanych nawet połowy tej kwoty, zaś ministerialnej dotacji ma być ledwie 15 milionów... I wcale nie jest też pewne, że wystarczy unijnych i własnych środków na realizację całego planu transportowego, włącznie z nową linią tramwajową przez Górczyn na Manhattan, gdzie zielenią się ogródki działkowe....

Coraz bardziej brakuje jednak pieniędzy w miejskiej kasie, choć ciągle są w niej jeszcze duże miliony. Ale to co wczoraj kosztowało milion, dzisiaj kosztuje już dwa-trzy miliony, a jutro... Nic dziwnego, że prezydent głośno zapowiada cięcia i rżnięcie wieloletniego planu inwestycyjnego. Oczywiście po dyskusji z radnymi, ale i chyba także mieszkańcami, którzy powinni w tej sprawie mieć coś do powiedzenia.

JAN DELIJEWSKI

Twoja przygoda
z klockami LEGO®WIELKA
WYSTAWA KŁOCKÓW
LEGO®

21 lutego - 28 kwietnia

Galeria Manhattan
Gorzów Wlkp.BRWIEKOLEGO.PL
przedstawiaPATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA GORZÓWA
Pana Jacka Wójcickiego
GORZÓW
WIELKOPOLSKIGORZÓW
#StylJestemŚwietna zabawa
Polecam!Media Patronat
Gazeta Lubuska
TVP3
95.6 FM
radio zachódPartners
onArt
C3D
Radosna
BRICK POINT
GALERIA manhattan

KALENDARIUM
Kwiecień 2019

● 1.04.

1896 r. - przy obecnej ul. Kosynierów Gdyńskich, uruchomiono zakład wodociągowy i oddano do użytku kanalizację uliczną. W 1958 r. powstało Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji, dziś spółka PWiK.

● 2.04.

1973 r. - powstała orkiestra „Odeon”, jako Gorzowska Orkiestra Kameralna istniała formalnie do chwili powstania Filharmonii Gorzowskiej w 2011 r. 1976 r. - ruszyła produkcja w nowo zbudowanym Zakładzie Stolarstwa Budowlanego przy ul. Bierzarına; po sprzedaży zakładów duńskiej firmie w 2004 r. obiekt popadł w ruinę i już nie istnieje. 1987 r. zm. Tadeusz Byrski (81 l.), dyrektor teatrów w Kielcach, Poznaniu, Łodzi i Gdańsku, reżyser filmowy i radiowy, w l. 1962-1966 współtwórca sukcesów artystycznych Teatru im Juliusza Osterwy w Gorzowie pod kierownictwem jego żony Ireny Byrskiej (1901-1997).

● 4.04.

2009 r. zm. Janusz Hrybac (84 l.), nauczyciel, kombatan, pionier miasta, kolekcjoner wilnińskich, założyciel i b. prezes gorzowskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Numizmatycznego (1966-1987).

● 5.04.

1940 r. ur. ks. prałat Witold Andrzejewski, kanonik honorowy kapituły katedralnej, b. kapelan gorzowskiej „Solidarności”, od 1989 r. - proboszcz w kościele p.w. Niepokalanego Poczęcia NMP w Gorzowie, b. aktor gorzowski (1960-1966), zm. w lutym 2015 r.

● 8.04.

1945 r. - Leon Kruszone, późniejszy wiceprezydent miasta, przeprowadził drugą 21-osobową grupę operacyjną z Wągrowca.

2009 r. - na placu Grunwaldzkim uruchomiono nową fontannę

1938 r. ur. się Jerzy Szabłowski, b. kierownik stadion i b. kierownik drużyny żużlowej Stali, jedyny działacz, który mógł się poszczycić, iż przyczynił się do zdobycia przez Stal wszystkich siedmiu złotych medali Drużynowych Mistrzostw Polski (1969, 1973, 1975, 1976, 1977, 1978, 1983), zm. w 2011 r.

● 9.04.

1968 r. - władze miejskie otrzymały zgodę Ministerstwa Kultury i Sztuki na rozbiorę zabytkowego Arsenału.

1984 r. - ks. bp Wilhelm Pluta poświęcił kościół parafialny pw. NMP Królowej Polski przy ul. Żeromskiego.

● 10.04.

1984 r. - w gorzowskim teatrze odbyła się premiera „Przygód dobrego wojaka Szwajjka” z Markiem Pudełko w roli

Byli żołnierze pamiętają o swoich tradycjach.

Co roku 18 marca spotykają się na terenie swojej dawnej jednostki.

Mimo zlikwidowania jednostki wojskowej przy ul. Myśliborskiej, dawni żołnierze pielęgnują pamięć o 74 latach istnienia 12 pułku piechoty i jego bohaterach. 12 pułk piechoty został sformowany w 1944 roku w miejscowości Baranówka na Ukrainie, w składzie 4 Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego. Podczas II wojny światowej pułk wziął udział w bojach m.in. na Wale Pomorskim, forsował Kanał Hohenzollernów i zdobywał Kołobrzeg, za co został 6 maja 1945 r. wyróżniony nazwą „Kołobrzesci”. Natomiast za zasługi oraz męstwo wykazane w ciężkich bojach z najeźdźcą hitlerowskim, 21.06.1945 r. jednostkę odznaczono krzyżem srebrnym Virtuti Militari.

Po działaniach wojennych, 12 Kołobrzesci Pułk Piechoty krótko stacjonował w miejscowości Oborniki Wielkopolskie, a następnie w latach 1945-50 został przeniesiony do Pleszewa. W 1950 r. za sprawą dyslokacji jednostek



Dawni żołnierze pielęgnują pamięć o 74 latach istnienia 12 pułku piechoty i jego bohaterach

wojskowych wchodzących w skład 4 Dywizji do województwa zielonogórskiego, 12 Kołobrzesci Pułk Piechoty na stałe zostaje przeniesiony do Gorzowa Wielkopolskiego.

Pierwszym dowódcą, który sprowadził Pułk do Gorzowa, został ppłk Stefan Orliński. 11 maja 1958 r. na Placu Grunwaldzkim nastąpiło

wręczenie nowego sztandaru. W dniu 15.08.1962 r. Pułk Piechoty został przemianowany na Zmechanizowany Pułk Piechoty. Wiązało się to z reorganizacją i przebraniem w nowszy sprzęt bojowy.

Tradycje wojenne jednostki spotykały się z uznaniem w środowisku, czego efektem było nadanie w 1972 r. współpracującej z pułkiem

Szkole Podstawowej Nr 5 w Gorzowie Wlkp. imienia „Bohaterów 12 Kołobrzesciego Pułku Piechoty”

Żołnierze pułku uczestniczyli w licznych misjach pokojowych w ramach ONZ, m.in. w Egipcie, Syrii, Kambodży, Jugosławii. Żołnierze brali udział także w pracach na rzecz gospodarki narodowej

m.in. przy budowie „Huty Katowice”.

W 1996 r. w ramach kolejnych zmian w armii, 12 Kołobrzesci Pułk Zmechanizowany zostaje przeformowany w 4 Gorzowską Brygadę Zmechanizowaną im. gen. Piotra Szembeka. 11 listopada 1996 r. na Placu Grunwaldzkim odbyła się uroczystość pożegnania sztandaru 12 KPZ, odebranie nowego sztandaru 4 GBZ i przejścia tradycji 4 Dywizji Piechoty. Brygada zaś w związku z restrukturyzacją i redukcją jednostek wojskowych została rozformowana z dniem 30.12.1998 r. Ostatnim dowódcą był ppłk Wiesław Wróblewski.

Mimo wyprowadzenia wojska z miasta, pamięć o tradycjach jednostki podtrzymywana jest przez byłych żołnierzy pułku, zrzeszonych w Związku Żołnierzy Wojska Polskiego, którzy co roku organizują uroczystości Święta Pułku.

Tekst i fot. STANISŁAW MIKLASZEWSKI

Bulvar z trzema gwiazdkami nad Wartą

Centrum Gorzowa wzbogaciło się o nowoczesny hotel z 23 komfortowo wyposażonymi pokojami, ale także z salami konferencyjnymi i restauracją.

- Cieszę się, że nasi lokalni przedsiębiorcy pokazują wysoką jakość, a nowy hotel w samym sercu miasta to będzie jeden z tych obiektów, z których jako gorzowianie będziemy dumni i będziemy mogli otwarcie pokazywać gościom. Teraz zadaniem stojącym przed nami jest jak najszybsze dokończenie remontu w centrum, na czym skorzysta również hotel, ponieważ całe śródmieście niedługo wypięknie - powiedział na otwarciu obiektu prezydent miasta Jacek Wójcicki.

Znajdujący się przy ulicy Łużyckiej hotel o nazwie Bulvar posiada trzy gwiazdki i jego największym atutem jest lokalizacja. W bezpośrednim sąsiedztwie z jednej strony znajduje się Nova Park, z drugiej dworce kolejowy i autobusowy, bul-

war, a po drugiej stronie ulicy mamy Katedrę. Hotel powstał głównie na jednoosobowe pokoje, bo w swojej ofercie ma ich aż 16. Pozostałych siedem pokoi to dwuosobowe. Wszystkie są bardzo dobrze wyposażone, w standardzie posiadają telefon z możliwością zamówienia bezpłatnego budzenia, TV-Sat, bezpłatny Internet. Wszystkie pokoje są klimatyzowane, posiadają ogrzewanie podłogowe oraz mini bary. Nowoczesne i jasne łazienki wyposażone są w prysznic, suszarkę do włosów, zestaw kosmetyków. W pokoju znajduje się też biurko do pracy oraz możliwość całkowitego zaciemnienia pokoju.

Inwestorem jest znana nie tylko w Gorzowie firma Budnex, dla której jest to jednak pierwsza tego ro-



Hotel Bulvar posiada trzy gwiazdki, a jego największym atutem jest lokalizacja

daju budowa. Jak zwrócił uwagę przewodniczący rady miasta Jan Kaczanowski, z góry można założyć, że hotel już jest skazany na sukces.

- Znam właścicieli Budnexu i za co się nie wezmą zawsze odnoszą sukces - zwrócił uwagę, po czym zaraz dodał, że władzom miasta bardzo zależy na tego rodzaju inwestycjach

realizowanych przez rodzime firmy.

- Powinniśmy robić wszystko, żeby sprzyjać lokalnym przedsiębiorcom, bo w nich tkwi siła, a w takich przypadkach istnieje duża szansa, że z każdą kolejną inwestycją będzie rosła potęga gorzowskiej gospodarki - dodał.

Podkreślić należy, że hotel powinien spełnić oczekiwania nie tylko gości przyjeżdżających do Gorzowa z różnych stron świata i kraju, ale także samych gorzowian. Szczególnie tych zajmujących się organizacją konferencji, szkoleń czy spotkań biznesowych. W hotelu znajdują się dwie klimatyzowane sale z systemem rekuperacji. Sale wyposażone są w najnowocześniejszy sprzęt multimedialny, w tym bezprzewodowy

Internet, ekran sterowany elektronicznie, wysuwany z sufitu, rzutnik, szeroki pakiet przerw konferencyjnych oraz kawowych, flipchart, nagłośnienie i zaciemnienie sali. Do dyspozycji gości jest również monitorowany parking na 23 auta.

- Jestem przekonana, że nasza oferta jest ciekawa - mówi wprost Małgorzata Wrońska, dyrektor hotelu. - Kierujemy ją nie tylko do turystów, ale i gorzowian oraz lokalnych firm, gdyż możemy organizować szkolenia, możemy i z chęcią będziemy przygotowywać przyjęcia rodzinne, w tym wesela, chrzciny i inne. Będziemy zachęcali mieszkańców, żeby na co dzień przychodzili do nas na smaczne posiłki - dodaje dyrektor.

RB

Dla lepszego zaopatrzenia w wodę i odprowadzania ścieków

Przed Przedsiębiorstwem Wodociągów i Kanalizacji stoją kolejne ambitne zadania do realizacji.

Spółka planuje do 30 września bieżącego roku zakończyć budowę sieci kanalizacji sanitarnej na ulicach Skrajnej, Wylotowej i Deszczowej w Gorzowie oraz na Osiedlu Poznańskim w gminie Deszczno. Bezpośrednio po zakończeniu budowy mieszkańcy będą mieli możliwość odprowadzać ścieki do zbiorczego systemu. Przedsięwzięcie realizowane jest w ramach projektu pn. „Uzupełnienie systemu zaopatrzenia w wodę i odprowadzania ścieków oraz poprawa efektywności energetycznej Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji Sp. z o.o. w Gorzowie Wlkp.”. Inwestycja ta obejmuje swoim zakresem budowę blisko 9,85 km sieci kanalizacji sanitarnej, w tym realizację sześciu sieciowych przepompowni ścieków. Zakłada się, że do zbiorczego systemu odprowadzania ścieków dostęp uzyska 290 osób.

- Budowa infrastruktury w tej części miasta jest bardziej czasochłonna z uwagi na wysoki poziom występowania wód podziemnych, co wiąże się z koniecznością odwadniania wykopów - mówi **Piotr Czapliński**, specja-



Budowa infrastruktury w tej części miasta jest bardziej czasochłonna

lista ds. technicznych w PWiK Sp. z o.o. i jednocześnie wyjaśnia, że jeszcze podczas realizowania inwestycji dojdzie do spotkania informacyjnego z mieszkańcami wymienionych ulic, aby omówić działania, które trzeba będzie podjąć, aby włączyć budynki do nowo budowanej sieci.

- Spotkanie odbędzie się jeszcze przed okresem urlopowym i będzie dotyczyło

wykonania samych przyłączy z poszczególnych gospodarstw domowych z kolektorem głównej sieci - kontynuuje Piotr Czapliński. - Realizacja tych prac zawsze leży po stronie właścicieli nieruchomości. Z naszej strony chcemy jednak przedstawić kompletną informację na temat działań, jakie należy poczynić, żeby wykonać takie przyłącza. Na spotkaniu udostępniemy wszystkie nie-

zbędne materiały, dokumentację projektową służącą do wykonania zadania - podkreśla.

Kolejnym ważnym dla mieszkańców Gorzowa zadaniem jest budowa 8,42 km sieci kanalizacyjnej w rejonie ulic Szczecińskiej, Mory-

ńskiej, Stargardzkiej, Lipiańskiej, Nowogardzkiej, Wolińskiej, Pełczyckiej, Cedynskiej, Koszalińskiej, Policzkiej, Gryfińskiej, Kołobrzesckiej, Chojeńskiej, Goleniowskiej, Pyrzyckiej i Metalowców. Inwestycja ta jest realizowana w ramach projektu pn. „Budowa sieci wodociągowej i kanalizacji sanitarnej w Gorzowie Wlkp.” i wiąże się z koniecznością przepompowni ścieków. Realizacja tego zadania zapewni 240 mieszkańców możliwość skorzystania ze zbiorczego systemu odprowadzania ścieków.

- Zakładany termin zakończenia prac to 30 września 2020 roku - informuje **Tomasz Surdacki**, zastępca dyrektora ds. technicznych.

Obie inwestycje realizowane są w ramach działania 2.3 „Gospodarka wodno-ściekowa w aglomeracjach” II oś priorytetowa „Ochrona środowiska, w tym adaptacja do zmian klimatu” Programu Operacyjnego Infrastruktura i



5 najbardziej niebezpiecznych miejsc w Gorzowie

Ponad 116 kolizji - takie żniwo w skali całego 2018 roku zebrało zaledwie 5 miejsc znajdujących się na terenie naszego miasta.

W jakich lokalizacjach kierowcy powinni szczególnie uważać? Tego typu informacje sprawdzili specjaliści z systemu Yanosik i sporządzili listę najbardziej kolizyjnych miejsc Gorzowa.

Jak wynika ze statystyk Komendy Głównej Policji na terenie województwa lubuskiego w 2017 r. doszło do ponad 680 wypadków, w wyniku których rannych zostało ponad 850 osób, a 84 zginęły. Warto więc zwrócić uwagę na to, w jakich miejscach zachować szczególną ostrożność. Eksperci systemu Yanosik wzięli pod lupę obszar Gorzowa Wielkopolskiego:

- Bazując na częstotliwości występowania wypadków drogowych, stworzyliśmy listę najbardziej niebezpiecznych miejsc w Gorzowie Wielkopolskim. System Yanosik umożliwia wysyłanie i



odbieranie różnego rodzaju ostrzeżeń przez kierowców, w tym również zgłoszeń o kolizjach. Autentyczność

zgłoszeń jest weryfikowana przez samych kierowców, którzy przejeżdżając przez dane miejsce, mogą zatwier-

dzić lub odwołać dodany wcześniej komunikat - komentuje Magda Zglińska, Yanosik - Dzięki temu możemy określić lokalizacje, w których najczęściej dochodzi do wypadków - dodaje. Gdzie w takim razie gorzowscy kierowcy powinni szczególnie mieć się na baczności?

► Miejsce 1

Liderem niechlubnego rankingu jest węzeł Gorzów Wielkopolski Południe. W 2018 roku użytkownicy systemu Yanosik zgłosili tutaj 28 kolizji.

► Miejsce 2

Do 27 niebezpiecznych zdarzeń doszło z kolei na rondzie kard. Stefana Wyszyńskiego.

► Miejsce 3

Niewiele mniej kolizji miało miejsce na innym skrzyżowaniu o ruchu okrężnym - rondzie Górczyńskim. Zgłoszono tutaj 24 takich zdarzeń.

► Miejsce 4

Tuż za „podium”, znalazło się kolejne rondo - Marcina Kasprzaka. Użytkownicy systemu odnotowali tutaj 20 wypadków.

► Miejsce 5

Zestawienie najbardziej niebezpiecznych miejsc zamknięcia ronda Gdańskiego. Doszło tutaj do 17 kolizji.

- Dla zwiększenia bezpieczeństwa na drogach, warto wyposażać się w systemy ostrzegania, dzięki którym kierowcy mogą otrzymywać i dodawać różnego rodzaju informacje o sytuacji drogowej, m.in. o wypadkach, remontach, zatrzymanych pojazdach czy fotoradarach. W ten sposób można z wyprzedzeniem przygotować się do odpowiednich manewrów i bezpiecznie dotrzeć do celu - komentuje Magda Zglińska, Yanosik.

JOANNA SUSIO

KALENDARIUM Kwiecień 2019

tytułowej; wyreżyserowany przez Bohdana Mikucia spektakl miał 27 przedstawień dla ponad 8 tys. widzów.

1991 r. zm. Marian Kaiser (58 l.), pionier i legenda gorzowskiego żużla, wychowanek Stali (1950-1953), następnie zawodnik Legii Warszawa i Wybrzeża, od 1966 na emigracji w Niemczech.

2010 r. zm. Anna Maria Borowska (81 l.), współorganizatorka i wiceprezes Gorzowskiej Rodziny Katyńskiej; zginęła wraz z wnukiem Bartoszem w katastrofi smoleńskiej.

● 11.04.

2001 r. zm. Bolesław Kowalski (60 l.), artysta-plastyk, pierwszy szef delegatury ZPAP, pierwszy plastyk miejski (1975-1976); jest autorem m.in. sgraffito na Starym Rynku (Obotrycka), które przedstawia panoramę Gorzowa.

2007 r. zm. Wacław Niewiarowski (65 l.), b. wojewoda gorzowski (1991-1992), następnie wiceminister i minister w rządzie J. Olszewskiego i H. Suchockiej, jeden z najlepszych racjonalizatorów w historii „Stilonu”, szachista, działacz struktur poziomych PZPR, później działacz opozycyjny, b. sekretarza KM PZPR (1981), usunięty w stanie wojennym.

● 12.04.

1951 r. - utworzone zostały Gorzowskie Zakłady Włókien Sztucznych, później ZWCh „Stilon”.

● 13.04.

1816 r. ur. Hermann Paucksch, syn tokarza, założyciel zakładów mechanicznych w Gorzowie, fundator fontanny na Starym Rynku, honorowy obywatel miasta, zm. w 1899; w 1896 r. z okazji swych 80 urodzin ofiarował miastu środki na budowę fontanny; została ona uruchomiona w 1897 r., rzeźby, które zdemonstrowano w 1941 r., zrekonstruowano w 1997 r.

● 15.04.

1962 r. - drużyna Stali zadebiutowała w I lidze na żużlu, przegrywając wyjazdowy mecz w Częstochowie z „Włóknarzem” 35:42; gorzowianie pozostawali w ekstraklasie przez 40 lat.

1929 r. ur. Ludwina Nowicka, aktorka gorzowska (1961-1962, 1980-1990), absolwentka I LO (1949), współtwórczyni i animator wielu teatrów amatorskich w Gorzowie zm. w 2005 r. 1999 r. zm. Mieczysław Miszkin (63 l.), nauczyciel i publicysta, gorzowski działacz kultury, b. kierownik Wydziału Kultury PMRN (1963-1966), nauczyciel w II LO (1974-1977) i Liceum Medycznym Pielęgniarstwa (1978-1990), współpracownik „Ziemi Gorzowskiej”, „Stilonu Gorzowskiego” i „Traktu”.

● 16.04.

1999 r. zm. - Stefan Wachnowski (77 l.), dziennikarz lubuski, brydżysta, organizator i pierwszy redaktor naczelny tygodnika

KALENDARIUM Kwiecień 2019

„Ziemia Gorzowska” (1979-1982).

● 17.04.

1993 r. - bp Józef Michalik, od 1986 r. ordynariusz gorzowski, który przeniósł swą siedzibę do Zielonej Góry, został mianowany arcybiskupem metropolią przemyskim obrządku łacińskiego.

● 18.04.

1984 r. - ruszyła pierwsza obra- biarka w nowo zbudowanych obiektach ZM „Gorzów” na Ba- czynie.

● 20.04.

1947 r. - na zakończenie Tygo- dnia Ziem Odzyskanych w Go- rzowie odbył się 40-tysięczny wiec mieszkańców Ziemi Lubu- skiej z udziałem Władysława Gomułki, ówczesnego ministra Ziem Odzyskanych.

1907 r. ur. mjr Jan Kazimierz Mickunas, b. kwaleryzista i tre- ner jeździectwa, woldenber- czyk, b. dyrektor Państwowego Technikum Rachunkowości Rol- nej w Zieleńcu (1957-1961), zm. w 1973 r.

● 21.04.

2000 r. - siatkarze Stilonu zos- tali wicemistrzami Polski; pierwszy sukces gorzowskich siatkarzy w ekstraklasie.

1945 r. ur. Marek Pudełko, ak- tor, nestor gorzowskiej sceny (1976-2003), zm. w 2011 r.

1955 r. ur. Jerzy Krajewski, b. kajakarz i trener kajakarzy Ad- miry, zm. w 2013 r.

● 22.04.

1999 r. zm. Lucjan Leśniewski (69 l.), dwukrotny komendant hufca ZHP w Gorzowie (1956-1957 i 1960-1973).

● 23.04.

1909 r. ur. Florian Kroenke, ho- norowy obywatel Gorzowa, b. burmistrz Wągrowca, organiza- tor polskiej administracji w Go- rzowie, pełnomocnik rządu na obwód gorzowski i pierwszy starosta, b. wicewojewoda po- znański i kierownik Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego w Go- rzowie (w latach 1946-1949), zm. w 2004 r.

1991 r. zm. Tadeusz Stercel (63 l.), pionier gorzowskiego żużla (1947-1962), zawodnik Unii, Gwardii i Stali (1949-1959).

1994 r. zm. Wiesław Strebejko (49 l.), artysta plastyk, sceno- graf, plakacista, zasłużony działacz gorzowskiej kultury, ostatni prezes GTSK.

● 24.04.

1971 r. - powołana została filia WSWF w Poznaniu, obecnie In- stytut Wychowania Fizycznego AWF

1979 r. - Gorzów stał się mias- tem statystycznym.

● 25.04.

1947 r. - rozkazem MON-u 4. Łużycki Pułk Saperów pod do- wództwem płk. Franciszka Ozie- rańskiego został przeniesiony z Poznania do Gorzowa i zajął dawne kosza- ry im. Strantza; po- czątek polskiego garnizonu.

1981 r. - poświęcono sztandar ZR „Solidarność” w Gorzowie,

Wszystko może wymknąć się spod kontroli

Trzy pytania do Andrzeja Jasińskiego, komendanta Straży Miejskiej w Gorzowie



- W okresie zim o w y m zagładacie go- rzowianom do pieców i spraw- dzanie czym palą. Jakie są wyniki tych kon- trol?

- W ubiegłym roku przeprowadzili- śmy 361 kontroli i w 28 przypadkach stwierdziliśmy spalanie odpadów, co zakończyło się mandatami karnymi. W jednym przypadku sprawa została skierowana do sądu, ponieważ właściciel odmówił przyjęcia manda- tu. Miał do tego prawo. W tym roku (do marca - redakcja) przeprowadzili- śmy 141 kontroli i w 11 przypadkach byliśmy zmuszeni ukarać właścicieli. Z danych tych wynika, że w sumie 8 procent mieszkańców posiadających w mieszkaniach lub domach piece si-

ęga po odpady, żeby nimi się dogrze- wać. Najczęstszym takim odpadem są pozostałości meblowe. Samo drewno nie jest szkodliwe, ale meble są politurowane, lakierowane i takimi nie wolno palić. Stwierdziliśmy rów- nież przypadki spalania zużytego ole- ju, niemal jako stałej formy ogrzewa- nia choćby warsztatu.

- Minął rok od modernizacji popu- larnego „Kwadratu”. Wcześniej miejsce to nie zawsze cieszyło się dobrą renomą. Jak to wygląda teraz?

- Zmiana infrastruktury na „Kwadra- cie” pozytywnie wpłynęła na bezpiecze- ństwo i porządek. Obecnie jest on bar- dziej otwarty, co ułatwia również wyłapy- wanie na gorącym uczynku tych, którzy nie przestrzegają prawa. Ponadto jest taka prawidłowość, że w miejscach, w których przebywa dużo ludzi, oni swoim pozytywnym zachowaniem wypierają tych, którzy są na bakier z porządkiem

publicznym. Wcześniej gęste zadrze- wienie sprzyjało spożywaniu alkoholu, załatwianiu potrzeb fizjologicznych czy innym pozaprawnych działaniom. Teraz takie sytuacje zdarzają się dużo rza- dziej. Owszem, na ławeczkach blisko toalety jeszcze zasiadają amatorzy spożywania alkoholu pod chmurką, ale często otrzymujemy zgłoszenia i wtedy natychmiast działamy.

- Często rozmawiamy o bezdo- mnych ludziach w Gorzowie, a jak wygląda sprawa z bezdomnością zwierząt?

- Ustawa mówi o potrzebie wyłapy- wania bezdomnych i stanowiących za- grożenie zwierząt, przy czym głównie mówimy tutaj o psach. Wydział gospo- darki komunalnej w urzędzie miasta ma podpisaną umowę w tej sprawie z firmą zewnętrzną, która reaguje na każde zgłoszenie. Dużo większym pro- blemem, skoro już poruszamy sprawę

zwierząt, jest zachowanie się własci- cieli psów. Jako straż miejska działamy intensywnie w sprawie kontrolowania zachowania się opiekunów czworono- gów, szczególnie w zakresie trzymania ich na uwięzi oraz sprzątnięcia po nich. Robimy to głównie w godzinach poran- nych i codziennie praktycznie natrafia- my na właścicieli, którzy bezpiecznie puszczają swoje pieski i czekają aż one się wybiegają oraz załatwią swoje potrzeby. Kiedy zwracamy na to uwagę najczęściej słyszymy, że to są łagodne zwierzęta. Tu nie chodzi o to, czy ktoś jest łagodny, chodzi o to, że obowiązkiem właściciela jest prowa- dzenie psa na smyczy i sprzątnięcie po nim. Pies w każdej chwili może zasko- czyć nawet właściciela swoim zacho- waniem i dlatego puszczonej wolno stanowi zagrożenie. Wszystko może wymknąć się spod kontroli.

RB

Zachęcamy wszystkich do rejestrowania się w bazie danych.

Trzy pytania do Leszka Lewandowskiego, zajmującego się rekrutacją dawców w fundacji DKMS



- Na świecie w różnych organi- zacjach zareje- strowanych się około 30 milio- nów potencjal- nych dawców szpiku. Nie jest to jednak liczba robiąca duże wrażenie. Dlaczego ludzie nie chcą się rejestrować?

- Jeżeli dany problem nie dotyczy nas bezpośrednio, najczęściej nie zwracamy na niego uwagi. Podobnie wygląda to z rejestrowaniem się na dawców komórek macierzystych szpi- ku. Wielu z nas uważa, że nie ma tak- iej potrzeby, skoro wokół nas nikomu nic nie dolega. Dopiero, kiedy pojawi się jakakolwiek choroba wśród bli- skich zaczynamy się nią bardziej inte- resować. I wtedy dociera do nas świadomość, że ciężka choroba

może dotknąć również nas samych. W przypadku nowotworu krwi, który może dotknąć każdego w każdym wieku, najczęściej jedyną metodą na uratowanie życia jest przeszczep, bo lekarstwo jest w nas. Są to komórki macierzyste. Żeby jednak do tego do- prowadzić trzeba znaleźć dawcę. Można to zrobić przez bazę danych. Dlatego tak ważne jest, żeby w bazie znajdowało się jak największe osób. W Polsce nie jest pod tym względem tak źle. W naszym rejestrze znajduje się blisko półtora miliona ludzi. W Euro- pie tylko w Niemczech jest więcej osób zarejestrowanych. Pamiętajmy jednak, że znalezienie „bliźniaka ge- netycznego” jest bardzo trudne i cza- sami zdarza się to raz na 100 milio- nów, co pokazuje, że te 30 milionów zarejestrowanych w świecie to jest naprawdę mała liczba. Naszą misją jest natomiast znalezienie dawcy dla

każdego potrzebującego. Dlatego tak intensywnie zachęcamy wszystkich do rejestrowania się w bazie danych. Dawcą może zostać każdy ogólnie zdrowy człowiek w wieku 18-55 lat, ważący przynajmniej 50 kilogramów, nie posiadający dużej nadwagi. Re- jestracja trwa dziesięć minut.

- Współpraca różnych fundacji, posiadających rejestry dawców, odbywa się na polu międzynarodo- wym?

- Oczywiście, aczkolwiek poszuki- wania zaczynają się zawsze od sprawdzenia wszystkich krajowych rejestrów. Jeżeli nie znajdzie się od- powiedniego dawcy, wtedy przeszuki- wana jest światowa baza. W przypad- ku znalezienia dawcy na innym konty- nencie nie ma potrzeby, żeby chory musiał tam lecieć i odwrotnie. Mate- riał jest pobierany w danym kraju, po- tem dostarczany do miejsca przepro-

wadzenia zabiegu. Niczym nie trzeba się martwić, wszystkim zajmują się odpowiednie fundacje, w tym oczywi- ście nasza, zadaniem której jest nie tylko dbanie o chorego, ale i dawcę.

- Często ludzie nie chcą się reje- strować, bo boją się samego po- brania szpiku. Czy jest to bolesne?

- Nie. Od kilkudziesięciu lat walczy- my z mitem, jakoby szpik był pobiera- ny poprzez bolesne wkłucie igły w kręgosłup. Nic bardziej mylnego. Po- bieranie jest prowadzone dwoma me- todami. W 80 procentach jest to po- branie komórek macierzystych z krwi obwodowej. Druga metoda, mniej po- pularna, to pobranie szpiku kostnego z talerza kości biodrowej. Trwa ona godzinę w znieczuleniu ogólnym. Jest bezbolesna, choć wymaga krótkiego pobytu w szpitalu. Po zabiegu jest pe- wien dyskomfort, ale szybko mija.

RB

Siła Gorzowa tkwi w przemyśle, od którego nie uciekniemy

Trzy pytania do Krzysztofa Nuckowskiego, współwłaściciela firmy Budnex



- Kilka dni te- mu rozpoczął działalność Ho- tel Bulvar, które- go właścicielem jest Budnex. Skąd pomysł, żeby zamiast ko- lejnego budynku mieszkalnego postawić hotel?

- Możemy mówić tutaj o przypadku. Pierwotnie planowaliśmy bowiem wybu- dować obiekt mieszkalny. Kiedy jednak zaczęliśmy rozmawiać na ten temat ze znajomymi zaczął się u nas rodzić po- myśl postawienia czegoś innego, wyjątkowego, patrząc na dotychczasową formułę naszej działalności. I tak pojawiła się propozycja, żeby był to hotel. Swoją drogą zawsze jestem bardzo zadowolony z obiektów, które nam się udają i ten hotel już zaliczam do tej grupy. Oczywiście jest to zasługa wszystkich, którzy

pracowali przy realizacji projektu. Te gro- no było bardzo duże. Nie tylko kierownik budowy, ale choćby pani Bożena Jaku- bowska, która aranżowała i mnóstwo ser- ca włożyła. Nie będę nawet tutaj próbo- wał wymieniać tych wszystkich ludzi, bo zapewne o kimś zapomnę. Najważnie- jsze, że jest to przyjemny, kompaktowy hotelik w fajnym miejscu i mam nadzieję, że wypełni on lukę na gorzowskim rynku hotelarskim. Ponadto cieszę się, że mog- liśmy przyczynić się do rozwoju samego miasta, bo ten nasz obiekt będzie fajną perełką w ścisłym centrum.

- Co jest największym atutem tej in- westycji?

- Przed rozpoczęciem budowy doko- nałem analizy, z której jednoznacznie wynikało, że w Gorzowie od ponie- działku do piątku obłożenie miejsc hote- lowych jest niemal stuprocentowe. In- aczej to wygląda w weekendy, gdzie możemy mówić o sporych luzach. Dla-

tego przybierając określoną formę na- szej działalności uznaliśmy, że należy pójść w stronę poszerzenia oferty dla klientów. Szczególnie w obszarze bi- znesu. Stworzyliśmy dobre warunki do prowadzenia konferencji, szkoleń i orga- nizacji wszelakich imprez biznesowych. Do wyboru jest większa i mniejsza sale, świetnie wyposażone. Wszystko w za- leżności od potrzeb. To nie wszystko, bo drugim filarem naszego działania są sale restauracyjne. Chcemy wypełnić weekendową lukę i zachęcać do organi- zowania u nas różnych wydarzeń, w tym rodzinnych. Sprzyjać temu ma umiejscowienie hotelu.

- Pańska firma działa na terenie wielu polskich miast, ale gorzowski rynek zawsze był i jest jednym z wiodących. Jak się ma dzisiaj bu- downictwo mieszkalne w Gorzowie?

- Dla mnie gorzowski rynek jest cały czas bardzo dobry. Może będę

trochę nieskromny, ale nasza firma wyrobiła sobie tutaj dobrą markę, dzi- ęki której wszystkie oferowane bu- dynki i mieszkania są sprzedawane. Myślę, że osiągnęliśmy również na tyle wysoki poziom, że potrafimy na- prawdę fajnie budować. Jeżeli chodzi o potencjał samego Gorzowa, to przez ostatnich 20 lat widzieliśmy je- go kurczenie się, ponieważ brako- wało silnego bodźca rozwojowego. Cały czas jesteśmy miastem robotni- czym, przez co siła Gorzowa tkwi w przemyśle. Od tego na razie nie uciekniemy. Być może inni mają własne pomysły, ale moim zdaniem, to przemysł jest ciągle kołem zama- chowym, które dopiero w dalszej ko- lejności ciągnie inne sektory gospo- darki, w tym usługi i handel. Dlatego powinniśmy dalej poszerzać tereny dla kolejnych inwestorów.

RB

Przy pomocy komputera można czytać do woli

Trzy pytania do Kazimierza Ligockiego, specjalisty ds. digitalizacji w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej



- Na czym polega digitalizacja bibliotecznych zbiorów i czemu właściwie służy?

- Najprościej mówiąc jest to proces, polegający na przerobieniu materiału papierowego na materiał cyfrowy. Dotyczy to praktycznie wszystkiego, co znajduje się na papierze, czyli gazet, książek, fotografii i innych wydawnictw. Proces ten jest realizowany poprzez odpowiednio do tego przygotowany skaner, posiadający głowicę z bardzo czułą lampą. Całość polega na wykonaniu zdjęcia digitalizowanego obiektu. Tego rodzaju działania mają na celu nie tylko zabezpieczenie starych, archiwalnych materiałów, ale zwiększenie do nich dostępności. Często mamy do czynienia, że stara książka jest dostępna tylko w jednym egzemplarzu. Do tego znajduje się pod ochroną w określonym miejscu, na przykład w muzeum. Przez to powszechna do-

stępność do niej jest mocno utrudniona lub wręcz zakazana ze względów konserwatorskich. Po digitalizacji każdy praktycznie przy pomocy komputera może sobie ją oglądać i czytać do woli.

- Czy skanowanie danej pozycji przypomina skanowanie zwykłego zdjęcia czy innego dokumentu na domowym urządzeniu?

- Samo skanowanie jest oczywiście podobne, ale jak wspomniałem, skaner musi być wysokiej jakości. Dlaczego? Jako instytucja kultury jesteśmy zobowiązani do skanowania historycznych rzeczy zgodnie z przyjętymi światowymi normami. Nie możemy danego obiektu zmniejszyć, odchudzić, retuszować czy zmieniać kolorystykę. Jeżeli w oryginale kartki są żółte po digitalizacji musi zostać zachowany ten sam kolor. Jeżeli gdzieś coś jest niedodrukowane, na zdjęciu musi wyglądać tak samo, ponieważ jest to ważne do badań naukowych. Papier sam w sobie zawiera mnóstwo ważnych informacji i kto go bada nawet za pomocą zdjęcia w komputerze również musi mieć

możliwość powzięcia jak najszerzej wiedzy. Dodam jeszcze, że tych trudności przy skanowaniu jest więcej. Choćby pojemność danego pliku i wielkość. Wszystkie elementy skanowane muszą być w skali 1:1. Chodzi o to, żeby istniała możliwość odtworzenia danego obiektu w oryginale, poza papierem oczywiście. W przypadku gazet sam proces skanowania nie stanowi większego kłopotu. W przypadku książek każdą kolejną zeskanowaną kartką plik robi się coraz większy, bo wszystko musi być w całości. Finalnie bywają zbiory liczące po kilkadziesiąt gigabajtów. Żeby potem z tego skorzystać komputer musi najpierw pobrać plik na dysk komputera i wtedy mogą pojawić się poważne problemy. Kolejna sprawa to dbałość o oryginał. Często mamy do czynienia z materiałem bardzo kruchym. Nie wszystkie egzemplarze dają możliwość całkowitego rozłamania stron, jak to jest w przypadku gazet czy fotografii.

- Jak wyglądają w tym przypadku sprawy praw autorskich czy włas-

nościowych, bo nie wszystkie archiwalne pozycje można chyba zdigitalizować i umieścić w Internecie do swobodnego użytku?

- Nie ma problemu, jeżeli te prawa już wygasły, a następuje to po stu latach. Natomiast faktem jest, że w przypadku młodszych dzieł takie kłopoty już się pojawiają i są powszechne. Szczególnie w sytuacji, kiedy trudno jednoznacznie ustalić, do kogo należą prawa autorskie. W wielu przypadkach te sprawy są naprawdę mocno zagmatwane. Jeżeli mamy rzecz czytelną, to wtedy następuje kwestia porozumienia się z właścicielem praw. Ponadto istnieje zasada, że placówki kultury, mowa głównie o bibliotekach, skanują dany obiekt jeden raz. Chodzi o niepowtarzanie tej samej pracy, słowem niedublowanie tych samych obiektów, bo poprzez Internet można do nich dotrzeć bez względu na miejsce ich przechowywania. Skoro więc jednak biblioteka ma zeskanowane takie a takie książki, druga już tego nie czyni.

RB

Wszystko odbywać się będzie po obu stronach Warty

Trzy pytania do Włodzimierza Roja, dyrektora Ośrodka Sportu i Rekreacji w Gorzowie



- Po dziesięciu latach nie odbędą się pokazy dynamiczne na moście Staromiejskim podczas tegorocznej edycji Moto Racing Show.

Dlaczego?

- Rzeczywiście, musimy zmienić koncepcję organizowania tego wydarzenia. Jest to spowodowane dużą liczbą remontów głównych ulic, a nie chcemy doprowadzić do całkowitego zakorkowania miasta w dniu imprezy. Pamiętajmy, że zamknięcie mostu dla potrzeb pokazu dynamicznego nie trwałoby może długo, ale wcześniej musimy zamontować zabezpieczenia i przez to przeprawa musiałaby zostać odcięta od ruchu już kilka godzin

wcześniej. Do zabezpieczeń stosujemy ciężkie betonowe płyty oraz nieco lżejsze metalowe zapory. Ich późniejszy demontaż również trwa dosyć długo. Nasza decyzja została podyktowana nie tylko ze względu na głos wielu mieszkańców, ale i bezpieczeństwo nas wszystkich. Przy zakorkowaniu niemal całego miasta największe problemy mają służby niosące pomoc, w tym karetki pogotowia, straż czy policja. Pamiętam takie zdarzenie, kiedy to młoda dziewczyna doznała ataku padaczki i naszą „imprezową” karetką szybko wieźliśmy ją do szpitala. Trwało to bardzo długo. O tym również trzeba pamiętać, dlatego zawieszamy pokazy na moście.

- A znamy już ostateczny scenariusz całego wydarzenia?

- Pracujemy nad szczegółami. Ograniczymy się do części statycz-

nej, lecz zapewniam, że atrakcji będzie sporo. Zaprosimy na zlot motocyklistów, miłośników różnych samochodów, w tym pojazdów militarnych, aut zabytkowych, a także samochodów po różnych rekonstrukcjach. Planujemy montaż symulatorów, tak żeby chętni mogli poczuć jak to jest w trakcie dachowania autem, jak się jeździ na jednym kole lub pędzi bolidem Formuły 1. Chętni poczną spory dreszczyk emocji. Plusem nowej odsłony Moto Racing Show będzie to, że cała impreza potrwa cały dzień, a nie tylko kilka godzin. Wszystko odbywać się będzie po obu stronach Warty.

- Dlaczego do pokazów nie można byłoby wykorzystać stadionu żużlowego?

- Z takim pomysłem wyszedłem już kilka lat temu, proponując

rozważenie zorganizowania u nas jednej z rund mistrzostw Polski lub Grand Prix w drifcie. Przeprowadziłem nawet rozmowy z organizatorami tych zawodów i szybko okazało się, że nie byłoby z tym większych problemów. Warunkiem jest jednak dostosowanie stadionu do wymogów organizacji takiego wydarzenia. Idą za tym spore koszty, rzędu kilkuset tysięcy złotych. Część zapewne pokryliby sponsorzy, bo zainteresowanie jest, ale w tym roku na pewno nie uda się tego tematu rozwinąć. Mamy za mało czasu. Pozytywnym aspektem jest to, że zainteresowanie taką imprezą przejawia także Stal Gorzów. Mam nadzieję, że wspólnie dopracujemy wszelkie detale i być może zaprosimy kibiców na te ciekawe zapowiadające się zawody w przyszłym roku.

RB

W galerii pokazujemy, że ludzie potrafią zbierać wszystko

Trzy pytania do Agnieszki Pospiesznej, kierownik Informatorium Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta i jednocześnie szefowej Galerii w Gablotach



- Za chwilę Galeria w Gablotach kończy dziesięć lat. Czym jest to miejsce?

- Miejscem, w którym pokazujemy różnego rodzaju zbiory, kolekcje, rękodzieło, bibeloty zgromadzone przez naszych czytelników. To nie jest wielka sztuka, tylko pokaz tego, co może zainspirować ludzi do kolekcjonowania czy gromadzenia. Zaczęło się wszystko od tego, że spotkałam pewną kolekcjonerkę literatury, czyli książek,

gdzie nie tylko słowo, tekst jest ważny, ale całość. Najprościej powiedzieć, że są to bardzo nietypowe książki, gdzie liczy się wszystko. Pomyślałam, że może to być coś ciekawego także dla innych - to była pierwsza wystawa, którą obejrzało sporo ludzi, odzew był pozytywny, na tyle, że powstała galeria, gdzie pokazujemy rzeczywiście bardzo różne rzeczy.

- Jak pozyskujecie chętnych do pokazania swoich zbiorów?

- Na początku to były moje propozycje. A potem, zresztą dość szybko, rozeszło się, że jest takie miejsce, gdzie można pokazać swoje pasje. I kolekcjonerzy zaczęli się sami

zgłaszać. Przez te lata pokazaliśmy bardzo różne rzeczy, bo kolekcje związane z literaturą, muzyką, sportem, ale i zainteresowaniami dzieci. Przypomnę, że pani prof. Beata Orłowska pokazała swoje kolekcje przedmiotów związanych z sowami, Wanda Milewska zaprezentowała kolekcję miniatur instrumentów muzycznych, hitem była wystawa pamiątek po Stilonie pana Romana Maruchy. Zresztą każda wystawa powoduje, że czytelnicy się przy nich zatrzymują, bywa, że od tego zaczyna wizytę w bibliotece. Od niedawna każda wystawa połączona jest z prezentacją książek odnoszących

się do tematu, a które są w zasobie naszej biblioteki.

- Co trzeba zrobić, aby pokazać swoją kolekcję w księżnicy?

- Przede wszystkim mieć coś ciekawego do pokazania. Staramy się, aby wystawy się nie dublowały, co przy dziesięcioleciu prawie historii wcale proste nie jest. No i trzeba się do mnie zgłosić. Inna rzecz, że galeria chyba się podoba, bo mamy już plan na następny rok. Ludzie, którzy czytają książki, też mają potrzebę kolekcjonowania. I czasami pokazania swoich zbiorów innym. My te pasje rozumiemy.

RENATA OCHWAT

KALENDARIUM Kwiecień 2019

odbyło się I Walne Zebranie Delegatów NSZZ „Solidarność” Regionu Gorzowskiego.

1993 r. - na cmentarzu komunalnym odsłonięto pomnik pamięci pomordowanych w I.

1939-1956, ufundowany przez Związek Sybiraków i Gorzowską Rodzinę Katyńską.

● 26.04.

2008 r. - po wygranej w Lesznie koszykarki AZS PWSZ zajęły III miejsce w ekstraklasie, zdobywając pierwszy medal MP w historii gorzowskiej koszykówki.

● 27.04.

1958 r. - w miejscu dawnej „Café Voley” i „Polonii” otwarta została kawiarnia „Wenecja”, założona przez Spółdzielnię Usług Różnych; był to jeden z najpopularniejszych lokali w Gorzowie, nazwa nawiązywała do werandy zbudowanej na palach nad rozlewiskiem Kłodawki, lokal funkcjonował do 1969 r.

1959 r. - Unia Gorzów rozegrała na własnym stadionie przy ul. Myśluborskiej spotkanie towarzyskie z mistrzem Polski, drużyną ŁKS, zorganizowane przez kierownika sekcji piłkarskiej Unii, Gertrudę Przybylską, wygrali goście 7:1, honorową bramkę dla gorzowian zdobył Marian Cichosz.

1987 r. - MRN powołała Klub Myśli Twórczej „Lamus” oraz nazwała szereg ulic na Karninie, w rejonie al. Niepodległości na Górczynie i w rejonie ul. Owocowej na Piaskach.

● 28.04.

2002 r. - premier Leszek Miller wziął udział w otwarciu Centrum Rehabilitacyjno-Sportowego „Słowianka”.

● 29.04.

1951 r. - ks. Edmund Nowicki, odsunięty przez władze administrator diecezji gorzowskiej, mianowany został przez papieża Piusa XII koadiutorem niemieckiego biskupa Gdańska M. Spletta z prawem następstwa.

1962 r. - na stadionie przy ul. Ślaskiej odbył się pierwszy żużlowy mecz I-ligowy, w którym debiutująca w rozgrywkach drużyna Stali uległa Sparcie Wrocław 32:45.

● 30.04.

1964 r. - w gorzowskim teatrze odbyła się premiera komedii Hieronima Lubomirskiego „Don Alvaros” w reż. Ireny Byrskiej, jedyny gorzowski spektakl pokazany na żywo w telewizji; rolę tytułową grał Witold Andrzejewski, wówczas aktor teatru, później kanonik i proboszcz w Gorzowie

1974 r. - uroczyste otwarto Park Kopernika, który „Stilon” przekazał miastu.

2011 r. - piłkarze GKP rozegrali swój ostatni mecz w I lidze, przegrywając na własnym boisku z KSZO Ostrowiec 1:2; następne mecze oddano walkowerem.



Adresy

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej
ul. Wełniany Rynek 3
66-400 Gorzów Wlkp.
tel. (095) 73-87-101,
73-87-102
biuro@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl

Program Realizacji Świadczeń Wzajemnych pomaga tym, którzy nie są w stanie spłacić zaległych należności. Więcej na
zgm.gorzow.pl/
odpracujdlug/
tel. (095) 73-87-125
odpracujdlug@zgm.gorzow.pl

Biuro Zamiany Mieszkań
ul. Wawrzyniaka 4
tel. (095) 73-87-129,
(095) 73-62-100
bzm@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/
zamianamieszkania/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 1
ul. Wyszyńskiego 38
tel. (095) 73-87-139,
73-87-142, 73-87-145
adm1@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm1/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 2
ul. Towarowa 6A
(budynek przychodni I p.)
tel. (095) 73-87-151,
73-87-155, 73-87-156
adm2@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm2/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 3
ul. Armii Polskiej 29
tel. (095) 73-87-162,
73-87-165, 73-87-176
adm3@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm3/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 4
ul. Drzymały 10
tel. (095) 73-87-180,
73-87-182 do 184, 73-87-186
adm4@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm4/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 5
ul. Gwiaździsta 4
66-400 Gorzów Wlkp.
tel. (95) 73-87-203 do 205,
73-87-209 do 211
fax (95) 73-87-213
adm5@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm5/

Właściciele mają głos we własnych sprawach

Raz do roku wspólnoty mieszkaniowe decydują, co będą robić w swoich kamienicach.

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej zakończył sezon spotkań ze wspólnotami. Trochę ich było, bo wspólnot jest około tysiąca.

- Zarządzamy 945 wspólnotami mieszkaniowymi i zgodnie z ustawą o własności lokali, mamy obowiązek się z nimi spotkać nie później niż w pierwszym kwartale każdego roku. Jako zarządca rozliczamy się z pobranych zaliczek i poniesionych kosztów na budynku. Wspólnoty są we wszystkich pięciu Administracjach Domów Mieszkalnych na terenie całego miasta. Sezon na spotkania to właśnie luty i marzec - tłumaczy Paweł Nowacki, dyrektor Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej.

Wspólnota zaczyna się od jednego

Wspólnota powstaje z mocy prawa w momencie wyodrębnienia pierwszego lokalu w nieruchomości na rzecz innego niż dotychczasowy właściciel podmiotu tj., kiedy w kamienicy należącej do miasta zostanie wykupione choćby tylko jedno mieszkanie. Wówczas w jednym budynku



ZGM administruje, ale to właściciele decydują o wszystkim, co dotyczy części wspólnych w danej kamienicy

pojawia się dwóch właścicieli, którzy nabywają uprawnienia, ale także spoczywa na nich obowiązek utrzymania nieruchomości, jednym słowem muszą się dogadać w ważnych kwestiach dotyczących budynku. - Zgodnie z ustawą mamy do czynienia z dwoma rodzajami wspólnot, „małymi”, czyli takim do siedmiu lokali i „dużymi”, czyli takimi, gdzie liczba lokali przekracza siedem - mówi dyrektor ZGM.

W przypadku małych wspólnot wszystkie decyzje przekraczające zakres zwykłego zarządu dotyczącego budynku muszą być podejmowane jednomyślnie. Natomiast w przypadku dużych wspólnot de-

cyduje większość członków wspólnoty.

Remont, dach, inwestycje

Właściciele decydują o wszystkim, co dotyczy części wspólnych w danej kamienicy. - Oznacza to, że od ich działań i ustaleń zależy czy zostanie wykonany remont dachu, elewacji, klatki schodowej czy innych rzeczy jak instalacje. Bo to właściciele przecież płacą za wszystkie inwestycje, proporcjonalnie do posiadanego udziału w nieruchomości. Również wspólnota decyduje o sposobie sfinansowania robót i tym samym o zaciągnięciu kredytu na wykonanie tych prac - obrazowo wyjaśnia dyrektor ZGM. I

dodaje, że w budynkach w których funkcjonują wspólnoty a zarządza właściwa Administracja Domów Mieszkalnych, wszelkie kwestie formalne jak przygotowanie niezbędnych uchwał, wniosku wraz z uzyskaniem kredytu, wystąpienie do organów celem uzyskania niezbędnych zgód i decyzji na wykonanie zaplanowanych prac, jak i sam przetarg w celu wyłonienia wykonawcy przygotowują pracownicy administracji.

Najlepszym przykładem, jak działają wspólnoty będzie choćby podjęcie decyzji o przyłączeniu swoich budynków do centralnego ogrzewania w ramach zakończonego programu KAWKA. - To wspólnoty na specjalnie zwoływanych zebraniach decydowały, czy chcą się podłączyć. Zdecydowana większość podjęła decyzję na tak, ale były pojedyncze nieruchomości które nie były zainteresowane - mówi Paweł Nowacki. Powody w takich sytuacjach niejednokrotnie były różne. A to wspólnota nie chciała niszczyć wyremontowanej zabytkowej klatki schodowej, a to właściciele mieli własny, działający system ogrzewania ale często

była to materia związana z finansowaniem robót. - Nie zmuszaliśmy nikogo. Każda wspólnota jest autonomiczna i rządzi się sama - podkreśla Paweł Nowacki.

Raz do roku, albo i nie

Na zebraniach sprawozdawczych ADM rozlicza się z członkami wspólnoty z pobranych zaliczek i ze wszystkich działań, jakie w minionym roku zostały przeprowadzone. - Poza tym przyjmujemy plan finansowy na przyszły rok oraz ustalamy wspólnie co będzie realizowane. Przede wszystkim zapadają decyzje remontowe - mówi dyrektor ZGM.

Okazuje się, że w skali całego miasta są już takie wspólnoty, gdzie nie ma potrzeb remontowych, ponieważ już wszystko jest tam zrobione. Jednak spora część budynków wymaga znacznych nakładów remontowych czy poprawy infrastruktury.

- Zasadniczo wszystkie spotkania rozliczeniowe musimy odbyć do 31 marca. Jednakże w praktyce zebrania ze wspólnotami prowadzimy przez cały rok - mówi dyrektor ZGM.

ROCH

Mieszkańcy zalegają miastu za zajmowane mieszkania

W ubiegłym roku dług mieszkańców wobec miasta wzrósł.

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej cały czas przekonuje, że trzeba spłacać swoje zaległości.

- W ubiegłym roku dług mieszkańców wobec miasta z tytułu opłat za mieszkania wyniósł 62 mln złotych - mówi Dorota Benowska, główna księgowa Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej. W stosunku do roku 2017 zadłużenie wzrosło, ponieważ na zamknięcie tamtego roku zadłużenie wynosiło 58 mln złotych.

Nie płaciła babcia, nie płaciła mama...

Jak tłumaczy Dorota Benowska, aż 22 mln złotych z kwoty 62 mln to koszty odsetek. Specjaliści z ZGM wyjaśniają, że ogromne zadłużenie mieszkańców lokali komunalnych wynika między innymi z przyzwyczajenia. - Cały czas pokutuje myślenie, że skoro za mieszkania nie płacili dziadkowie, rodzice, to obecni mieszkańcy też nie muszą.

My, jako Zakład Gospodarki Mieszkaniowej, zwyczajnie się nie godzimy na taką sytuację i na pewno będziemy robić wszystko, aby owo zadłużenie się zmniejszało - mówi główna księgowa ZGM.

Dodaje, że w pętłę zadłużenia z tytułu niepłacenia za mieszkanie wpadają też i ludzie, którzy nie są notorycznymi dłużnikami. - Bywa, że ktoś zachoruje, straci pracę, wydarzy się coś, co powoduje, że za mieszkanie się nie płaci. My staramy się zrozumieć takie sytuacje i proponujemy różne rozwiązania. Najważniejsze jest, aby taki dłużnik przyszedł do nas, opowiedział swoją sytuację, a razem spróbujemy znaleźć wyjście z długu, przykrej dla każdego sytuacji - tłumaczy Dorota Benowska.

Okazuje się bowiem, że zadłużenia gorzowian z tytułu opłat za mieszkanie mają bardzo szerokie widelce. - Mamy dłużników, którzy zalegają od kilkuset złotych do nawet kilkudziesięciu tysięcy, nawet

powyżej 50 tys. złotych - mówi główna księgowa ZGM.

Są tacy, którzy spłacają

W ubiegłym roku ZGM rozłożył na raty zadłużenie dla 302 osób na łączną kwotę 3 341 tys. złotych. - Spłacanie jest bardzo ważne. Dług bowiem powoduje, że dana osoba może stracić prawo do zajmowanego mieszkania. W ubiegłym roku 27 osób po spłacie odzyskało prawo do lokalu. Te osoby łącznie spłaciły zaległość na kwotę 249 tys. zł - mówi Dorota Benowska.

To bardzo ważna informacja, bowiem utrata prawa do zajmowanego lokalu komunalnego skutkuje koniecznością wyprowadzki, opuszczenia mieszkania.

Dlatego ZGM na bieżąco monitoruje stan opłat mieszkańców, informuje o zadłużeniu, przypomina o konieczności spłacania, a co więcej, proponuje konkretne sposoby niwelowania zadłużenia.

Można wpłacić gotówkę, można dług odpracować

Pierwszym sposobem spłacania zadłużenia jest wyłożenie gotówki. Jednak na takie rozwiązanie mało kogo stać, dlatego ZGM proponuje odpracowanie długu. - Jak mówiłam, najbardziej nam zależy na odzyskaniu pieniędzy za zajmowane mieszkanie. Podkreślam, można i trzeba do nas przyjść, poszukamy razem sposobów wyjścia z takiego stanu - mówi Dorota Benowska.

Od kilku lat ZGM ma program odpracowania długu. Można wykonywać różne prace na rzecz ZGM. I tylko w ubiegłym roku w taki sposób odzyskano 86 tys. zł zaległości. - Trudno jest określić, ile dokładnie było to osób, bo my wyceniamy wykonaną pracę. Ale taka możliwość jest - zaznacza główna księgowa ZGM.

Zainteresowani taką możliwością spłaty mogą wykonywać różne prace, poczynając

od porządkowych, przez drobne usługi nawet do prostych prac biurowych. Co więcej, ZGM idzie na rękę dłużnikom, bo na ich prośbę może skierować do odpracowywania zaległości w miejsca poza bezpośrednim sąsiedztwem.

- Inną drogą spłaty zaległości jest rozłożenie zadłużenia na raty. W obu przypadkach, podkreślę kolejny raz, konieczna jest wizyta u nas. Opracujemy plan spłaty - tłumaczy Dorota Benowska.

Dla dłużników jest to o tyle ważne, że z chwilą gotowości do spłaty zadłużenia, z chwilą podjęcia rozmów z ZGM, opracowania planu spłaty przez rozłożenie na raty zadłużenia, ZGM odstępuje od naliczania odsetek od długu, jak i nie kieruje sprawy do windykacji komorniczej. I to jest niezmiernie ważne, bo akurat te opłaty są wysokie.

Specjaliści podkreślają, że za mieszkanie płacić muszą wszyscy.

ROCH

Studiuj bez barier w gorzowskiej AJP

Studia to coraz częściej wybierana ścieżka edukacyjna.

Coraz większa jest też liczba osób z niepełnosprawnością zainteresowanych zdobyciem tytułu licencjata czy magistra. Wszystko to za sprawą ciągle rozwijającej się sieci wsparcia wdrażanej w uczelniach wyższych. Dzięki zaangażowaniu w przełamywanie barier ośrodki akademickie stają się bardziej otwarte na przyjmowanie studentów z ograniczeniami. Słowem, trudności wynikające z niepełnosprawności nie stają się przeszkodą w zdobywaniu wyższego wykształcenia. Dziś działalność uczelni dedykowana studentom z niepełnosprawnością ma zastosowanie w kilku obszarach.

Biuro Osób Niepełnosprawnych

W Akademii im. Jakuba z Paradyża działa Biuro Osób Niepełnosprawnych (BON). Znajduje się ono przy ul. Teatralnej 25 i jest miejscem, do którego studenci z niepełnosprawnością mogą przyjść ze swoimi uczelnianymi sprawami. Biuro działa od poniedziałku do piątku w godzinach 8.30-15.30. Na studentów czekają pełnomocnik rektora oraz referent ds. studentów z niepełnosprawnością. W biurze można uzyskać poradę i wsparcie w procesie edukacji. Oprócz tego pracownicy służą pomocą w sprawach pozauczelnianych, takich jak wnioskowanie o pomoc materialną ze środków PFRON czy uzyskiwanie wsparcia z organizacji pozarządowych współpracujących z uczelnią. Każdy student jest traktowany indywidualnie, a jego sprawy są zawsze priorytetowe.

Proces rekrutacji i pierwsze dni na uczelni

Kandydaci na studia przed podjęciem ostatecznej decyzji dotyczącej kierunku studiów mają możliwość skonsultowania swojego wyboru z pracownikiem BON. Rozmowa ta dotyczy wyboru specjalności oraz analizy wymagań edukacyjnych i możliwości dostosowania procesu kształcenia do wa-



Studenci niepełnosprawni biorą aktywny udział w życiu uczelni, także we wspólnych wycieczkach

runków związanych z niepełnosprawnością. Jest to także okazja do zastanowienia się, czy dana specjalność jest możliwa do ukończenia przez kandydata oraz czy praktyki realizowane na danym kierunku będą możliwe do zrealizowania. Konsultacja w BON jest jedynie elementem mogącym pomóc w podjęciu decyzji, jednak o złożeniu dokumentów na dany kierunek decyduje kandydat, zgodnie ze swoimi upodobaniami i świadomością zaangażowania, jakie będzie musiał włożyć w realizację postawionego celu.

Gdy proces rekrutacji przebiegnie pomyślnie i kandydat zostanie włączony w poczet studentów, przychodzi czas na zapoznanie się z regułami funkcjonowania na uczelni. Pomóc w tym mają dni adaptacyjne, w których biorą udział przedstawiciele wszystkich jednostek uczelnianych. Studenci uczestniczą w kursie BHP oraz mają możliwość uzyskania najważniejszych informacji odnośnie życia akademickiego. Wśród tych informacji znajdują się także te dedykowane wyłącznie studentom z niepełnosprawnością. Są to m.in. informacje o wsparciu materialnym, dostosowanych zajęciach z wychowania fi-

zycznego czy działalności czasopisma akademickiego.

Formy wsparcia

Uczelnia dysponuje różnymi formami wsparcia studenta z niepełnosprawnością. W przypadku wsparcia edukacyjnego student może złożyć wniosek o Indywidualne Dostosowanie Studiów. IDS jest formą zdiagnozowania potrzeb edukacyjnych studenta i dostosowania procesu edukacji do konkretnego rodzaju niepełnosprawności. Wśród działań jest m.in. wydłużenie czasu trwania sesji/egzaminów, zmiana formy egzaminacyjnej (np. z pisemnej na ustną), zapewnienie potrzebnego sprzętu w ramach zajęć (dyktafon, powiększalnik, materiały w formie dostosowanej), czy zapewnienie odpowiednich warunków psychospołecznych (praca indywidualna). Dla studentów ze znacznym stopniem niepełnosprawności przewidziano asystenta dydaktycznego. Jest to osoba, która wspiera studenta w czasie zajęć na uczelni. W zależności od potrzeb może ona pomagać mu w sporządzaniu notatek, przepisywaniu z tablic, skanowaniu i kopiowaniu materiałów, przygotowywaniu prezentacji czy zdawaniu egzaminów. Należy pamiętać, że ta osoba

staje się niejako „narzędziem” osoby z niepełnosprawnością. Oznacza to, że w żaden sposób nie ma ona wpływu na jakość merytoryczną przygotowanych przez studenta prac i zaliczeń, a jedynie pomaga mu w przeniesieniu wiedzy na formę akceptowaną w ramach konkretnych zajęć. Oprócz tego studenci mogą wypożyczać sprzęt ułatwiający im przyswojenie treści merytorycznych (skanery ręczne, dyktafony). Dodatkowym wsparciem organizowanym w czasie pobytu na uczelni są różnego rodzaju warsztaty i szkolenia z umiejętności miękkich. Przez cały okres studiów student może także korzystać ze wsparcia pracowników BON.

Integracja ze społecznością akademicką i budzenie świadomości

Nawet najbardziej dostosowane ośrodki akademickie nie mają szans przyciągnąć w swoje szeregi studentów z niepełnosprawnością, jeśli nie poczynią żadnych starań w burzeniu barier mentalnych. To właśnie uprzedzenia i stereotypy na temat osób z niepełnosprawnością są trudniejsze do zmiany niż bariery architektoniczne. Łatwo jest wybudować podjazd, trudniej zmienić

postawy otoczenia. Priorytetem w funkcjonowaniu studentów z niepełnosprawnością na uczelni jest zapewnienie im wsparcia, także osób z podobnymi ograniczeniami, a będących na drodze edukacyjnej nieco dłużej.

Z tej potrzeby zrodziła się organizacja studencka, jaką jest Rada Niepełnosprawnych Studentów. Tworzą ją studenci z niepełnosprawnością, asystenci i wolontariusze. Jej zadaniem jest budowanie sieci wzajemnej pomocy na uczelni oraz integracja. W ramach RNS studenci spotykają się w murach uczelni, a także wyjeżdżają na konferencje, seminaria i obozy integracyjno-szkoleniowe. Rada staje się przestrzenią do rozwoju osobistego, nawiązania relacji koleżeńskich, a także dostrzeżenia, że są osoby w podobnej sytuacji życiowej, które mimo trudności nie utają w dążeniu do wyznaczonych celów, w tym do zdobycia wyższego wykształcenia. Kolejną sprawą jest przygotowanie kadry uczelnianej do obecności osoby z niepełnosprawnością w uczelni. Dzieje się to poprzez szkolenia i konsultacje dla pracowników administracyjnych i naukowych. Takie szkolenia orga-

nizowane są również dla studentów. Dotyczą one różnego rodzaju niepełnosprawności oraz savoir-vivre'u wobec osób z niepełnosprawnościami. Działania te są podejmowane, ponieważ często zachowania alienujące osoby z niepełnosprawnością nie wynikają ze złej woli osób zdrowych, a z poczucia lęku. Boimy się tego, czego nie znamy. Dlatego im więcej mówimy o niepełnosprawności, tym bliższa nam się ona staje. Idąc tym tropem, na uczelni zaczęto organizować także kampanię społeczną „Wspólna przestrzeń - współpraca i wykorzystywanie różnorodności”. Składają się na nią wystawy, prelekcje, warsztaty i happeningi mające na celu budzenie świadomości na temat niepełnosprawności.

Misja Biura Osób Niepełnosprawnych

Działania podejmowane na rzecz studentów z niepełnosprawnością nie ograniczają się tylko do wsparcia osób z ograniczeniami w ramach ich funkcjonowania na uczelni. Środowisko akademickie jest tym, które ma wpływ na kształtowanie środowiska lokalnego. Dlatego też inicjatywy podejmowane przez BON nie są działaniami zamkniętymi w murach uczelni. Współpraca z instytucjami państwowymi (np. PFRON) czy organizacjami pozarządowymi (np. Stowarzyszenie Twoje Nowe Możliwości, Szansa dla Niewidomych, Fundacja Aktywnej Rehabilitacji) owocuje działaniami w ogólnie rozumianym społeczeństwie. Są to wszelkie aktywności mające na celu zmianę postaw, przeciwdziałanie uprzedzeniom i budowanie środowiska otwartego na sytuację niepełnosprawności. Na uczelni te działania mają swój początek, jednak nie spełniłyby one swojego zadania, gdyby ich zakres nie sięgał daleko poza instytucję i nie przyczyniał się do zmiany świata.

MGR AGATA ZAWADZKA

WYDZIAŁ ADMINISTRACJI
I BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO
ul. Fryderyka Chopina 52
Gorzów Wielkopolski
tel. 95 721 60 61

WYDZIAŁ EKONOMICZNY
ul. Fryderyka Chopina 52
Gorzów Wielkopolski
tel. 95 721 60 15

WYDZIAŁ HUMANISTYCZNY
ul. Teatralna 25
Gorzów Wielkopolski
tel. 95 721 60 35

WYDZIAŁ TECHNICZNY
ul. Fryderyka Chopina 52
Gorzów Wielkopolski
tel. 95 727 95 35

WYDZIAŁ TURYSTYKI I NAUK O ZDROWIU
ul. Teatralna 25
Gorzów Wielkopolski
Tel. 95 721 60 54

Teraz wykorzystany będzie potencjał całego kraju

Rozmowa z Elżbietą Rafalską, minister rodziny, pracy i polityki społecznej

- Specjalne Strefy Ekonomiczne funkcjonują w naszym kraju od 1994 roku. Czy z perspektywy czasu możemy dzisiaj pozytywnie ocenić samą decyzję o ich powołaniu?

- Kiedy 25 lat temu przyjmowana była Ustawa o Specjalnych Strefach Ekonomicznych sytuacja gospodarcza Polski wyglądała zupełnie inaczej niż obecnie. Na początku lat 90-tych walczyliśmy z dużym bezrobociem, a bolączką naszej gospodarki było niepełne wykorzystanie infrastruktury przemysłowej. Głównym celem ustawy było więc przede wszystkim wsparcie procesu transformacji gospodarczej, w szczególności na określonych częściach terytorium kraju. Na przestrzeni ostatnich lat nie udało się jednak dostosować SSE do zmieniających się potrzeb i wyzwań ekonomicznych. Stąd nasz rząd poddał SSE głębokiej analizie, konsultując się m.in. z inwestorami oraz organizacjami otoczenia biznesu. Wniosek był jeden. Dotychczasowy system posiada szereg wad i nie odpowiada wyzwaniom, przed którymi stoi obecnie polska gospodarka. Przygotowaliśmy więc Ustawę o wspieraniu nowych inwestycji, która weszła w życie 30 czerwca 2018 roku. Na jej podstawie szerzej otwieramy się na sektor małych i średnich przedsiębiorstw, które dotychczas w niewielkim stopniu były reprezentowane w Strefach. To oznacza, że prawie cała Polska stała się wielką strefą inwestycyjną, a nie jedynie 0,08% jej powierzchni, jak było do tej pory. Bo nie ma w Polsce złych miejsc na inwestycje. Są tylko dobre i jeszcze lepsze.

- Jakie jeszcze zmiany wprowadziło przemodelowanie funkcjonowania SSE?

- Preferencje podatkowe są uzależnione teraz od miejsca inwestycji, jej charakteru i jakości tworzonego miejsca pracy. Te trzy jasne kryteria sprawiają, że zostaje wykorzystany potencjał całego kraju. Natomiast korzyści odczuwają wszyscy. Z jednej strony są to inwestorzy polscy, gdyż wymagane nakłady są teraz dostosowywane do ich możliwości i nie muszą oni, tak jak było do tej pory, zmieniać lokalizacji swojego biznesu. Zyskują także inwestorzy zagraniczni, bo nowe obszary i zagwarantowany czas inwestycji przywraca Polsce konkurencyjność na ryn-

kach międzynarodowych. Przewidujemy, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat powstanie ponad 200 tysięcy nowych miejsc pracy na konkurencyjnych warunkach. Dzięki wprowadzonym zmianom Strefy mogą jeszcze skuteczniej likwidować bariery inwestycyjne. W skali całego kraju oznacza to wsparcie finansowe dla inwestycji, które wpływają na rozwój gospodarki Polski i co najważniejsze mają charakter długofalowy. Niosą ze sobą m.in.: transfer wiedzy, wsparcie dla działalności B+R, stabilne miejsca pracy dla wysoko wykwalifikowanych pracowników, rozwój klastrów, likwidację bezrobocia na słabiej rozwiniętych terenach.

- Jak pani minister ocenia ponad 20-letnią działalność Kostrzyńsko-Słubickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej?

- Na przestrzeni ostatnich dwudziestu kilku lat K-SSSE rozszerzała swoją działalność i dziś swoim zasięgiem obejmuje całe województwo lubuskie, połowę zachodniopomorskie, połowę zachodnią część województwa wielkopolskiego, stając się jedną z największych stref ekonomicznych w Polsce. Strefa ta zawsze była naszą chlubą. Duży w tym miał udział jej pierwszy prezes oraz dzisiaj jego kontynuator Krzysztof Kielec. Strefa nie tylko dynamicznie się rozwijała, lecz także skutecznie wykorzystywała potencjał tego obszaru, dzięki czemu należy dziś do wiodących Stref pod względem liczby i wartości nowych inwestycji. K-SSSE wydała 330 zezwoleń na działalność gospodarczą na terenie Strefy, a łączna wysokość nakładów inwestycyjnych poniesionych przez wszystkie firmy działające tutaj wyniosła 7,9 mld zł. Dało to łącznie ponad 32 tysiące miejsc pracy. Od samego początku głównym zadaniem Strefy była walka z bardzo wysokim bezrobociem, szczególnie wśród osób z niższym wykształceniem. Z tym wyzwaniem poradziła sobie w sposób modelowy. We wszystkich województwach obejmujących powiaty, w których Strefa prowadzi działalność, liczba bezrobotnych drastycznie się zmniejszyła w porównaniu do najwyższego poziomu notowanego w końcu lutego 2003 roku. W województwach lubuskim i wielkopolskim liczba bezrobotnych jest dziś prawie pięciokrotnie niższa niż w końcu lu-



E. Rafalska: każda inwestycja nie tylko tworzy miejsca pracy u siebie, ale także pośrednio buduje miejsca pracy u kooperantów

tego 2003 roku. Natomiast w województwie zachodniopomorskim spadek był czterokrotny. W każdym z tych województw są to spadki liczby bezrobotnych wyższe niż na poziomie kraju. To samo dotyczy stopy bezrobocia. Podczas, gdy w Polsce tempo spadku wskaźnika bezrobocia wyniosło pomiędzy lutym 2003 a lutym 2019 - 12,6 punktów procentowych (z 18,7% do 6,1%), w woj. wielkopolskim odnotowaliśmy w tym czasie spadek o 13,3 punkty procentowe (z 16,6% do 3,3%), zachodniopomorskim - o 19,8 p. p. (z 27,6% do 7,8%), a w województwie lubuskim aż o 21 p. p. (z 27,1% do 6,1%). Obecne działanie K-SSSE nie ogranicza się jednak tylko do inwestycji przynoszących nowe miejsca pracy, to także szereg działań na styku biznesu i edukacji. Strefa pomaga przedsiębiorcom w kontaktach ze szkołami zawodowymi i branżowymi. Przy czym to w znacznym stopniu do dopasowania systemu kształcenia do obecnych wymagań na rynku pracy.

- Na ile ta nowa ustawa o strefach specjalnych może przyczynić się do dalszego rozwoju lokalnych rynków pracy?

- Nowy system wsparcia jest dostępny na terenie całego kraju, co demokratyzuje rozwój społeczny i gospodarczy, nie dyskryminując żadnego z regionów. Korzystać mogą z niego wszystkie gminy, co sprzyja także napływowi inwestycji na tereny mniej rozwinięte. Dotyczy to także regionów zmagających się z trudnościami o charakterze strukturalnym, w tym również miast średnich tracących funkcje społeczno-gospodarcze oraz miejscowości, które znajdują się na terenach powiatów, gdzie bezrobocie przekroczy

160% średniej krajowej. W tym kontekście uważamy, że ustawa stwarza dobre możliwości rozwoju lokalnych rynków. Aby tak się stało w ramach nowego systemu wsparcia uzależniliśmy możliwość uzyskania pomocy od stopy bezrobocia w powiecie, kierując się zasadą, że im wyższy poziom bezrobocia, tym wyższy będzie poziom pomocy publicznej udzielanej inwestorowi. Poza tym duży wpływ na rynki lokalne ma dostępność wsparcia dla firm niezależnie od ich wielkości, w tym szczególnie dla mikro, małych, i średnich przedsiębiorców. Dzięki temu możliwy jest większy napływ inwestycji w rejon słabiej rozwinięty, które na obecnym etapie rozwoju nie są w stanie sprostać wygórowanym wymaganiom dużych inwestorów jak np. infrastruktura czy dostępność zasobów ludzkich.

- A jak ważne ze społecznego punktu widzenia są miejsca pracy tworzone w zakładach znajdujących się w SSE? Stanowią one czynnik napędowy dla innych jednostek gospodarczych, które teraz muszą konkurować z firmami działającymi w SSE?

- Nie ulega wątpliwości, że każda inwestycja nie tylko tworzy miejsca pracy u siebie, ale także pośrednio buduje miejsca pracy u kooperantów. Bardzo nam zależy na tym, aby takie procesy miały miejsce. Z tego względu, zgodnie z nowymi zasadami wsparcia inwestorów zadaliśmy, aby nowe inwestycje tworzyły impuls dla wszechstronnego rozwoju społecznego i gospodarczego miejsca lokalizacji inwestycji. Nowa ustawa premiuje tych inwestorów, którzy będą angażować się w lokalne życie społeczne i gospodarcze, którzy zaoferują możliwości sze-

rokiej współpracy z miejscowymi przedsiębiorcami, tworząc także u nich nowe miejsca pracy, oraz zapewnią ich stabilność. W tym kontekście trudno mówić o konkurencji między przedsiębiorcami działającymi w strefach i poza nimi. Sądzę, że będzie to synergiczne współistnienie i kooperacja oraz inspiracja dla zwiększenia swojego potencjału. Należy zaznaczyć, że dla pełnej jasności sytuacji przedsiębiorców działających w ramach SSE zdecydowaliśmy się nie uchylać Ustawy o Specjalnych Strefach Ekonomicznych z 1994 roku. W ten sposób zagwarantowaliśmy prawa nabyte przez przedsiębiorców realizujących do tej pory inwestycje na terenie stref. Obowiązujące dwóch ustaw wprowadza przejrzysty podział na inwestycje, które będą korzystać z dotychczasowego wsparcia do 2026 roku w ramach zezwoleń wydanych na podstawie ustawy o SSE oraz inwestycje nowe, które będą mogły skorzystać ze wsparcia w oparciu o nową ustawę.

- Jeszcze kilka lat temu nie brakowało opinii, że Specjalne Strefy Ekonomiczne to w wielu przypadkach „Specjalne Strefy Wyzysku”, gdyż wiele firm korzystając z większego czy mniejszego bezrobocia niewiele płaciło swoim pracownikom. Czy to się zmienia?

- W nowej ustawie położony został mocny nacisk na promowanie wysokich standardów zatrudnienia pracowników i warunków pracy. Pragnę podkreślić, że zgodnie z nowymi zasadami możliwość uzyskania wsparcia jest uwarunkowana spełnieniem przez inwestora szeregu kryteriów, w tym szczególnie tych społecznych dotyczących stabilności zatrudnienia i rozwoju zawodowego pracowników. Przykładowo preferowani będą tacy inwestorzy, którzy zaoferują uczniom m.in. płatne staże lub praktyki czy darmowe pozaszkolne zajęcia edukacyjne rozwijające umiejętności i kwalifikacje zawodowe, a szkołom - nowe narzędzia czy klasy patronackie. Dla pracowników może to być także pakiet dodatkowych świadczeń z zakresu różnych form wypoczynku, działalności kulturalno-oświatowej, sportowo-rekreacyjnej, ubezpieczeń, programów opieki zdrowotnej, które będą wykraczać poza świadczenia finansowane lub współfinansowane z funduszu

świadczeń pracowniczych wymaganego przepisami prawa. Jestem przekonana, że kryteria wsparcia inwestycji w zakresie warunków zatrudnienia przyczynią się do promowania i wdrażania godnych warunków pracy.

- Wchodzące obecnie do SSE firmy rzeczywiście stawiają na rozwój technologiczny, nowe rozwiązania techniczne, co może przekładać się na wyższe wymagania względem pracowników, ale i wyższe płace?

- Zgodnie nowymi zasadami do oceny projektów inwestycyjnych stosujemy nie tylko kryteria ilościowe dotyczące wielkości zainwestowanego kapitału oraz poziomu bezrobocia w powiatach, ale także kryteria jakościowe, w ramach których mocno akcentujemy inwestycje pobudzające innowację. Zgodnie z tymi kryteriami preferowane są inwestycje, w wyniku których będą tworzone centra Badań + Rozwoju (B+R), centra usług informatycznych (ITO), centra usług dla biznesu (BSS) lub centra usług wspólnych (SSC), które swym zasięgiem wykraczają poza Polskę. Dodatkowe punkty są także za przynależność do klastra z branży strategicznej o charakterze przemysłowym zgodnego ze Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju: lotniczej, stoczniowej, biotechnologicznej, farmaceutycznej, elektronicznej, maszynowej, chemicznej, meblarskiej lub spożywczej oraz produkcji środków transportu, w tym części i akcesoriów do środków transportu, urządzeń medycznych i IT. Takie podejście przynosi już pierwsze owoce. Łódzka Specjalna Strefa Ekonomiczna została uznana za najlepszą w Europie i czwartą w świecie m.in. w uznaniu inicjatyw inspirujących współpracę inwestorów z miejscowymi uczelniami na rzecz rozwoju wysokich kwalifikacji pracowników na potrzeby nowoczesnych branż i usług. Takich przykładów jest więcej. Obecne zarządy spółek SSE angażują się w wiele nowych projektów pobudzających rozwój swoich regionów. Wspierają na przykład rozwój start-upów i szeroko rozumianej nowoczesnej przedsiębiorczości na miarę wyzwań rewolucji przemysłowej Industry 4.0.

- Dziękuję za rozmowę.

ROBERT BOROWY

Nowatorskie operacje kręgosłupa w szpitalu

Neurochirurdzy z Gorzowa zastosowali nową technikę leczenia operacyjnego choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa.

To jedno z pierwszych tego typu zabiegów w Polsce. W gorzowskim szpitalu pięciu pacjentom wykonał je dr Piotr Kowalski z Oddziału Neurochirurgii i Neurotraumatologii Wielospecjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego.

- Dla części pacjentów, którzy mają problemy z odcinkiem lędźwiowym kręgosłupa, a dla których leczenie zachowawcze jest już niewystarczające, jedynym sposobem na pozbycie się dolegliwości jest operacja. Spośród standardowych dostępów operacyjnych (od tyłu, boku, przodu lub stosując obejścia skośne) istnieje również dostęp wykorzystywany dużo rzadziej, ale rekomendowany ze względu na biomechanikę i anatomię trudnego do zaimplantowania odcinka L5-S1. Przekrój, osiowy dostęp przedkrzyżowy pozwala nie tylko na usunięcie zdegenerowanego dysku, ale również na wykonanie dystrakcji przestrzeni międzyzonowej, dzięki czemu uzyskuje się



Zabieg wykonywany jest techniką małoinwazyjną z użyciem specjalistycznych narzędzi dostępowych

zmniejszenie ciśnienia w kanale kręgowym i uwolnienie struktur nerwowych od ucisku, najczęściej będącego efektem dyskopatii - wyjaśnia dr Kowalski.

Aby dostać się do kręgosłupa i okolicy przedkrzyżowej cięcia skórne należy wykonać w okolicy karbu okولوجicznego. Następnie operator musi wytworzyć specjalny tunel prowadzący do przedniej części kości krzyżowej. Przygotowując doświadczenie operacyjne neurochirurg powinien zwrócić szczególną uwagę

na odpowiednie nacięcie powięzi.

- Używając specjalnych narzędzi dostępowych i upewniając się co do poprawności przygotowanego dojścia za pomocą dwupłaszczyznowej fluoroskopii, operator usuwa zwyrodniały dysk za pomocą specjalistycznych narzędzi jednorazowego użytku. W powstałe po dysku miejsce umieszcza się materiał, który ma za zadanie przyspieszyć zrost kostny. Następnie w utworzony kanał roboczy, zabezpieczony tuleją, wprowadza się osiowy implant mi-

ędzytrzonowy AxiaLIF, który nie tylko stabilizuje, ale również ma za zadanie wytworzenie dystrakcji przestrzeni międzytrzonowej, zapewniając tym samym odtworzenie korzystnego balansu strzałkowego pacjenta. Metoda stabilizacji dedykowana jest do odcinka L4-L5-S1 kręgosłupa - zdradza szczególnie dr Kowalski.

Niewątpliwą zaletą zastosowania metody z wykorzystaniem śrub osiowych Axialif 1L jest czas trwania operacji. Doświadczonemu chirurgowi samo wprowadzenie śruby

osiowej zajmuje ok. 15 minut. Cała operacja trwa nie dłużej niż godzinę, czyli o połowę krócej niż np. wykonywana metodą Alif z dojścia zaotrzewnowego przedniego przez brzuch. Jest też bardziej bezpieczna od tradycyjnej, podczas której odsłania się duże naczynia krwionośne (żyły, tętnice biodrowe, aortę, czy żyłę główną dolną).

Przeciwwskazaniem do zastosowania tej metody u pacjentów z chorobą zwyrodnieniową kręgosłupa są uwarunkowania anatomiczne, przebyte operacje w zakresie miednicy mniejszej, rozległe zabiegi przewodu pokarmowego oraz zabiegi w zakresie końcowego odcinka przewodu pokarmowego.

Zabieg wykonywany jest techniką małoinwazyjną z użyciem specjalistycznych narzędzi dostępowych. Operator musi jednak ściśle przestrzegać procedury krok po kroku i nie może pominąć żadnego z poszczególnych

etapów operacji. Z uwagi na to, że dostęp operacyjny jest niewielki często nie ma możliwości skorygowania już podjętych kroków operacyjnych. Efekty pracy obserwujemy dzięki śródoperacyjnej fluoroskopii, czyli obrazie prześwietlenia widocznym na ekranie monitora urządzenia RTG - dodaje dr Kowalski.

Poza krótkim czasem operacji zaletą tej metody jest też minimalne krwawienie, mała rana operacyjna i mała blizna pooperacyjna, a pacjent już na drugi dzień po operacji może wyjść do domu.

Przy wykonywaniu pierwszych zabiegów z użyciem śruby osiowej Axialif 1L dr Kowalski korzystał ze wsparcia dra. n. med. Petera Durnego z Bratysławy - autorytetu w zakresie chirurgii kręgosłupa, który śruby osiowe Axialif stosuje od lat i ma na swoim koncie ponad 100 takich operacji.

AGNIESZKA WIŚNIEWSKA

Jedna z najgroźniejszych chorób oczu

Jaskra to choroba, która w 90% przypadków przebiega bez widocznych dolegliwości.

Dotyczy około 800 tysięcy osób w Polsce, choć tylko połowa z nich wie, że choruje. Zachorować może każdy (bez względu na wiek i płeć). Wczesna diagnoza jaskry może pomóc ocalić wzrok. Dlatego już po raz trzeci Polskie Towarzystwo Okulistyczne zorganizowało w marcu akcję Polscy Okuliści Kontra Jaskra. Jako jedyny w Lubuskiem wziął w

niej udział Wielospecjalistyczny Szpital Wojewódzki w Gorzowie Wlkp., przy okazji oferując pacjentom szereg innych badań, w tym badania laboratoryjne, pomiar cukru we krwi, ciśnienia tętniczego czy konsultacje dietetyczne.

Jaskra to jedna z najgroźniejszych chorób oczu prowadząca do postępującego i nieodwracalnego uszkodze-

nia nerwu wzrokowego i komórek zwojowych siatkówki, a co za tym idzie pogorszenia lub utraty wzroku. Rozwijają się powoli. Wykrywa się ją zazwyczaj przypadkiem.

- Badania, które oferowaliśmy naszym pacjentom należą do grupy badań podstawowych. Obejmowało ocenę stanu dna oka i pomiar ciśnienia wewnątrzgałkowego. Wszystko

trwa zaledwie kilka minut, a pozwala rozwiązać wątpliwości, choć jeśli dziś wynik był negatywny, to wcale nie znaczy, że choroba nie wystąpi później - mówi Franciszek Weryszko, ordynator Oddziału Okulistycznego WSzW w Gorzowie.

Na jaskrę najbardziej narażeni są: cukrzycy, osoby cierpiące na miażdżycę, krótkowidzące (z wadą po-

niżej 4 dioptrii i zmianami w siatkówce i naczyniówce oka), osoby, u których jaskra występowała w rodzinie, osoby szczególnie narażone na stres, tzw. migrenowcy i osoby mające kłopoty z wysokim ciśnieniem tętniczym.

- Niezależnie od głównych czynników ryzyka profilaktyczne badanie w kierunku jaskry zalecane jest każdej

osobie, która od roku nie była u okulisty. Wykrycie choroby we wczesnych stadiach zaawansowania jest bardzo ważne, ponieważ rozpoczęcie leczenia w odpowiednim czasie pozwala uniknąć całkowitej utraty widzenia. Osoby z grup ryzyka powinny badać się raz na 6 miesięcy - dodaje dr Weryszko.

A.W.

reklama



Wielospecjalistyczny Szpital Wojewódzki w Gorzowie Wlkp. Sp. z o.o.

ul. Dekerta 1 66-400 Gorzów Wlkp.
www.szpital.gorzow.pl
facebook.pl/szpitalgorzow

Dział Rehabilitacji Wielospecjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego w Gorzowie Wlkp.

- Jedna z najlepszych tego typu placówek w regionie
- Doświadczona i wyspecjalizowana kadra
- Indywidualne podejście do każdego pacjenta
- Szeroki wachlarz usług medycznych, w tym: krioterapia, hydroterapia, elektroterapia, masaż leczniczy, pole elektromagnetyczne, laseroterapia, magnetronik
- Najnowsze metody leczenia
- 40 nowoczesnych stanowisk zabiegowych
- Ponad 600 metrów kwadratowych
- Sala ćwiczeń dla małych dzieci
- Sala ćwiczeń indywidualnych



UWAGA! NOWA SIEDZIBA DZIAŁU REHABILITACJI UL. DEKERTA 1, TEL. 95 733 18 25

Biały jeleń, Bambi i inne wcielenia pięknego zwierzęcia

Zbieracze poroża jeleniego już pewno nie wychodzą z lasów.

Podobnie mają fani śledzenia obecności jelenia w kulturze. A jak się okazuje, takich znaków w kulturze jest całkiem sporo.

- Znakiem kulturowym jest choćby biały jeleń, którego zobaczył św. Hubert. Jeleń miał w koronie krzyż, a polujący na niego się nawrócił - mówi Justyna Sokalska, kulturoznawca. I dodaje, że jeleń jest jednym ze zwierząt, o którym można sporo powiedzieć jak o znaku kulturowym

Jak to z Hubertem było

Hubert urodził się w 655 roku w Gaskonii. Zamiłowanie do polowania odziedziczył po swoim ojcu. Towarzyszył mu często na łowach. Ponoć w wieku 14 lat uratował mu życie podczas polowania na niedźwiedzia w Pirenejach. Hubert najwięcej czasu spędzał w lasach, gdzie nieustannie polował; łowiectwo było jego pasją. Niektóre źródła wskazują, że prowadził swobodne, wręcz hulawcze życie. Tak było do roku 695, kiedy polując w Górach Ardeńskich, nie bacząc na nic, w Wielki Piątek. Miał wtedy usłyszeć głos Stwórcy ostrzegający go przed jego niepomąganą pasją i nakazujący mu udanie się do — Lamberta biskupa Maastricht Tongres. Przejęty objawie-



Biały jeleń, którego zobaczył Hubert nim się nawrócił i został święty

niem, tak też uczynił. Udał się na służbę bożą do biskupa Lamberta. Rozpoczął studia teologiczne i działalność misjonarską w Ardenach. Po śmierci biskupa Lamberta (zm. ok. 700), z rąk papieża Sergiusza. - To legenda, ale coś musiało być na rzeczy, bo postać św. Huberta jest potwierdzona w źródłach - mówi Justyna Sokalska.

Malowali go nawet w czasach kamienia

Wizerunki jelenia można znaleźć już w jaskiniach z epoki kamiennej. Jeleń był zwierzęciem czczonym na

całym świecie. Ze względu na jego odnawiające się corocznie wysokie poroże często porównywano go z drzewem życia, dlatego też był w wielu kulturach i epokach symbolem płodności, duchowego wzrostu i zasady, śmierci i ponownych narodzin.

Egipcjanie uważali jelenia za łatwowiernego zarozumiałca, który uciekając przed myśliwym w lesie zaklinowuje poroże w gałęziach drzew i daje się zabić.

W buddyzmie jeleń uchodził, obok gazeli, za symbol mądrości i ascezy, zwierzę Buddy, który objawia się rów-

nież w postaci jelenia i jego nauk udzielanych często w gajach zamieszkałych przez pławą zwierzynę, atrybut wieczności i jesieni.

Jeleń obok łani w starożytności uchodził za święte zwierzę Artemidy, gdzie walka jelenia z innymi zwierzętami symbolizowała walkę między światłem a ciemnością. Jako przewodnik dusz jeleni pojawia się w starożytności i u Celtów. Starożytność widziała w jeleniu także wroga i zabójcę węży, a wyobrażenie to spotykamy często w związku z wodą życia. Niekiedy jeleni stają się symbolem

melancholii, ponieważ kocha samotność.

Biały jeleń czyli istota z innego świata

Biały jeleń jako istota magiczna pojawia się w wielu religiach i kulturach. Często utożsamiano go z jednorożcem. Indianie Huicizole zamieszkujący tereny środkowego Meksyku przedstawiają swego dobrego boga jako Jelenia.

W mitologii celtyckiej biały jeleń to wysłannik z zaświatów. Wierzą, że pojawia się, gdy ktoś złamie tabu/święte prawo. Jest zwiastunem zmiany dla tego, któremu się ukazał. Jako przewodnik biały jeleń prowadził mitologicznych bohaterów ku przygodom, a cudowny jeleń z mitologii węgierskiej wskazał Hunorowi i Magorowi miejsce założenia państwa. W legendach arturiańskich biały jeleń jest nieuchwytny. W legendach o odkryciu Japonii biały jeleń był przewodnikiem dwóch braci. Rogaty bóg Cernunnos był związany z życiem, płodnością, bogactwem i podziemiami - podobnie jak grecki Pan, rzymski Faun, hinduski Pashupati czy Puk (znany np. ze Snu nocy letniej) czy Herne Łowca.

Herne był łowczym króla Ryszarda II (który sam miał w herbie białego jelenia). Według legendy łowczy uratował życie króla, gdy ten zos-

tał zaatakowany przez białego jelenia, odniósł jednak śmiertelną ranę. Do życia przywrócił go czarownik przywiązując mu do głowy rogi jelenia. Herne musiał zrezygnować z zawodu myśliwego, przez co oszalał i zbiegł w głąb lasu, wciąż mając przywiązane do głowy rogi. Znalaziono go następnego dnia powieszzonego na dębie. Herne ma po dziś dzień straszyć w Windsorskim Lesie.

Ale też i Bambi

Bambi, to szalenie popularny bohater amerykańskiego filmu animowanego wyprodukowanego przez Walta Disneya. Film opowiada przygodę młodego jelenka Bambi, który zaprzyjaźnia się z królikiem Tuptusem i skunksem Kwiatkiem. Bambi jest księciem, synem jelenia - Króla Lasu - Wielkiego Księcia. Bambi całą młodość spędza z przyjaciółmi, poznając m.in. młodą łanią Felinkę, swoją późniejszą żonę. W zimie mama Bambiego zostaje zastrzelona w lesie podczas polowania. Bambi zostaje pod opieką ojca.

ROCH

Korzystałam między innymi ze Słownika mitów i tradycji Kultury Władysława Kopalińskiego, Słownika symboli religijnych oraz stron poświęconych kulturze.

Przedwiosenne skarby znalezione w lesie

Przełom lutego i marca to czas, kiedy samce jeleni szlachetnych, zwane bykami zrzucają poroże.

Poroże stanowi nie lada gratkę dla zbieraczy poszukujących tych „skarbów”. Na początku jednak należałoby zadać pytanie, dlaczego jeleni zrzucą poroże? I czy „poroże to to samo, co rogi”? Często ludzie niemający kontaktu z przyrodą i niezagłębiający się w biologię jeleniowatych nazywają poroże rogami, co jest błędem.

Poroże to...

Poroże to wytwór łącznotkankowy twardy, kostny twór wyrastający z kości czołowej jeleniowatych. Poroże zrzucane i nakładane jest corocznie, co stanowi ewenement w przyrodzie. Stanowi ono oręż niezbędny bykowi jelenia do obrony i w walce o samicę, którą nazywamy łanią, podczas godów zwanych rykowiskiem. Poroże zbudowane jest w 60% z substancji mineralnych i

około 40% z substancji organicznych. Wśród substancji mineralnych dominują sole wapnia i fosforu.

A rogi to...

Natomiast róg to twardy wyrostek występujący na głowie niektórych ssaków np. krowy czy kozy, zwykłe parzyście. W większości przypadków jest to wytwór skóry właściwej zbudowany z twardej keratyny, czasem wraz z pokrywami móżdżkami. Co istotne, rogi nabudowywane są przez całe życie osobnika danego gatunku i nie są zrzucane.

Kolekcjonerzy rogów

W gorzowskich lasach występuje dość sporo jeleni szlachetnych, co za tym idzie, sporo jeleni byków zrzucą poroże, które jest chętnie zbierane przez nawet trudniących się tym ludzi. Zachętą dla zbieraczy



Znalezienia pięknego poroża stanowi frajdę dla kolekcjonerów

jest cena poroża w skupie oraz chęć znalezienia pięknego okazu, co stanowi niesamowitą frajdę dla kolekcjonerów. Czasami znajdujemy jedną sztukę zwaną tyką, a szczęśliwcy znajdują w większej lub mniejszej odległości tak zwane pary, czyli komplet, to jest prawą i lewą tykę poroża jelenia od jednego osobnika. Niektóre okazy par zrzutów dochodzą do 8-9 kg., co stanowi niezbyty dowód, że myśliwi prowadzą prawidłową selekcję gatunku. Charakterystyczne dla jeleniowatych w cyklu rozwoju i zrzucania poroża jest to, iż starsze osobniki nakładają szybciej i szybciej zrzucają poroże. Niestety, dla jeleni okres, w którym zrzucają poroże, jest ciężkim czasem z powodów ciągłej penetracji oraz tropienia przez zbieraczy. Jelenie są przeganiane z dziennych ostoi, takich jak młodniki, trzcinowiska, przez co są cały czas w ruchu i nie mają chwili wytchnienia.

Mimo iż sam poszukuję zrzutów, przerażony jestem sytuacjami, w których dochodzi do „przeczyszczenia” całych arealów leśnych przez współpracujących zbieraczy. Przyrodnik, który zna zachowania jelenia, doskonale zdaje sobie sprawę, że takie nagminne płoszenie prowadzi do migracji z terenu, gdzie przebywał, co skutkuje tym, iż w danym miejscu nie zrzuci swojego poroża, bo go tam po prostu nie będzie. Dodatkowo trzeba zwrócić uwagę na fakt, iż przeganianie zwierzę stanowi zagrożenie dla ruchu drogowego a sposroszony jeleni może stworzyć śmiertelne zagrożenie na drodze. Pamiętajmy zatem, aby korzystając z dobra lasów szanować ich mieszkańców i w miarę możliwości nie płoszyć dzikich zwierząt.

HUBERT KLIMCZAK

Instruktor do spraw Łowiectwa
Polski Związek Łowiecki

W gospodarce jest coraz lepiej

Od początku 2019 roku jesteście informowani o nowych inicjatywach Rządu, które mają przyspieszyć rozwój społeczno-gospodarczy Polski.

Szeroki front robót w naszym Gorzowie Wlkp. jest imponujący i jakby ten dobry trend rozwojowy potwierdza. Praktycznie bezrobocie jest na najniższym poziomie, nie notowanym od wielu lat. Ogromna rzesza emigrantów ze wschodu zasilila nasz deficytowy rynek pracy, a mimo to na dużych budowach i w wielu firmach zawieszono banery z informacjami, że pracownicy są pilnie poszukiwani. Widzimy, że wiele robót miejskich się „ślimaczy”, a na jednym z nowo budowanych budynków w centrum miasta aktywność budowlana jakby zamarła, tylko łopocze na wietrze napis: „Poszukujemy pracowników”. Bezrobocia prawie nie ma. Coraz częściej zdarza się, że **wielu tych, co w latach przemian społeczno-gospodarczych wyjechali za pracę do Anglii, Irlandii czy nawet do Niemiec, teraz wraca do Polski.**

W czasie tej zarobkowej emigracji straciłem dobrego pracownika, w którym pokładałem nadzieję, że przejmie jedno z kierowniczych stanowisk. Dowiaduję się niedawno, że z założoną tam rodziną wrócił do Gorzowa. Zarobił trochę pieniędzy i harówka od rana do nocy na obczyźnie już mu się nie widzi, nie chce być dalej wykorzystywanym emigrantem. Mówi, że wolą z żoną trochę mniej, ale godniej i to co teraz w Gorzowie razem zarabia, to po zdobyciu praktyki da im jakąś perspektywę awansu i godnego życia. Mam nadzieję, że wróci do naszej firmy i ubogaci ją swoim zachodnim doświadczeniem. Inny znajomy, który powrócił ze Szwecji mówi, że na zachodzie, szczególnie w Szwecji słycać dużo dobrego o polskim rozwoju gospodarczym i wielu Polaków z zaciekawieniem patrzy na te nowe szanse w Ojczyźnie.

Pierwsze miesiące tego roku rzeczywiście są dobre, co potwierdzają też znani mi szefowie wielu firm, z którymi współpracuję. Nie widzę powodów do większego spowolnienia gospodarki, co nie oznacza, że w biznesie w tym roku będzie można spać spokojnie. „Chcesz mieć rozwój, to ciągle szukaj się na kryzys” – mawiał mój zacny profesor ekonomii.

Prognozy czołowych banków jak i analityków finansowych wskazują, że strefa euro hamuje. Wzrost w większości zachodnich państw będzie wyraźnie wolniejszy. Spowolnienie w Niemczech zawsze odbijało się na naszej sytuacji gospodarczej. Trzeba pamiętać, że do Niemiec kieruje-

my 28% naszego eksportu, a w obrotach z zachodnim sąsiadem mamy obecnie solidną nadwyżkę. Polska w zeszłym roku miała wzrost ponad 5% i jeżeli nawet ten wzrost obniżyłby się o 30%, co jest możliwe, to 3,6 %-towy wzrost by nas kompletnie zadowalał. Niemcy spodziewają się 0,9%-towego wzrostu. Myślę, że mamy już pierwsze efekty planu Morawieckiego. Zamrożenie cen energii daje stymulujący sygnał dla gospodarki. Co by nie powiedzieć, to stocznie się rozbudowują, kopalnie mają dobre wyniki, nasze rafinerie i przemysł naftowy ma się dobrze, nawet LOT i PKP, które były na skraju upadku i zęby na nie ostrzyły Niemcy, mają całkiem rozsądne wyniki, produkcja przemysłowa i eksport rośnie, a deficyt ma-

leje. Co nas w tym roku czeka? Na pewno dobrze zadziała „piątka Kaczyńskiego”. Już wiadomo, że 500+ na pierwsze dziecko wprowadzone będzie od 1 lipca br. Będzie to podobny zastrzyk pieniędzy na polski rynek jak poprzednio na drugie dziecko. Jak zauważymy, dóbr i usług nam na rynku podaży nie brakuje, półki w sklepach są pełne towarów, w składach magazynowych oraz na liniach produkcyjnych produktów jest nadmiar. By mogły one wejść na ścieżkę konsumpcji lub inwestycji to brakuje tylko jednego - pieniędzy jako ekwiwalentu wymiany. 500+ pełni taką podwójną rolę; z jednej strony jest programem pomocowym skierowanym na wychowanie i likwidację ubóstwa polskich dzieci, a z drugiej zaś jest sprytną metodą dofinansowania polskiej gospodarki, poprzez wprowadzenie dodatkowego pieniądza na ubogi polski rynek konsumpcji. Część z tych pieniędzy wróci do budżetu w postaci podatków, część zasili konsumpcyjne portfele Polaków, a pozostała część powiększy fundusze rozwojowe firm.

Rząd zapowiedział, że dla młodych pracowników do 26. roku życia nie będzie podatku PIT. Jest to o tyle ważne, że daje pracodawcy obniżkę kosztów, możliwość ustanawiania trochę wyższych wynagrodzeń dla młodych rozpoczynających pierwszą pracę i znacznie lepszy komfort dla zakładających rodzinę. **Młodzi będą już kalkulować, czy wyjeżdżać na zachód kuszeni trochę wyższymi zarobkami, czy pozostanie w kraju; w ogólnym bilansie będzie się jednak opłacało, by tu budo-**



Augustyn Wiernicki, absolwent Akademii Rolniczej i Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, od 1982 przedsiębiorca i właściciel znanej firmy w Gorzowie Wlkp., były radny, doradca wojewody w latach 2000-2001, społecznik, od 1992r. prezes i założyciel Stowarzyszenia Pomocy Bliźniemu im. Brata Krystyna. Prezes Zespołu Koordynacyjnego Związków i Stowarzyszeń Dzieci Wojny w Polsce (z siedzibą w Gorzowie Wlkp.). Członek Zespołu Organizacyjnego Narodowego Kongresu Trzeźwości.

wać swoją stabilną szansę życia dla siebie i rodziny.

Widać już, że w wielu przypadkach życiowej kalkulacji wygrywa ta opcja bycia u siebie i na swoim tu w kraju i blisko rodziny. Na pewno w tym myśleniu pomaga 500+ i wyprawka szkolna oraz już znacznie wyższe płace. Seniorzy-emeryci dostawać będą „trzynastkę” w postaci najniższej emerytury - 1100 zł brutto od maja i tuż przed wakacjami. Stworzenie trochę lepszych warunków finansowych dla ich babć i dziadków, a może też rodziców powoduje, że na nich łatwiej będą młodzi mogli liczyć z pomocą. Przywrócenie zredukowanych połączeń autobusowych, głównie PKS, skomunikuje małe miejscowości przede wszystkim z dużymi miastami. Młodzi zapewne chętniej zamieszkają na tzw. prowincji, bo będą mieć ułatwiony dojazd do pracy i kontakt z wielkomięjskimi ośrodkami kultury. Obecnie ludność uboższa i nie mająca swoich środków komunikacji z małych miejscowości, wsi i różnych popegeerowskich osad praktycznie była odcięta od świata, od możliwości dojazdu do pracy, do lekarza czy w jakichś osobistych sprawach administracyjnych. To się zmieni. Ten program „piątki Kaczyńskiego”, wzmacniający rozwój gospodarczy z równoczesnym wsparciem rodziny będzie dość kosztowny i może wynieść kolejne przy najmniej 20 mld zł, a w dodatku ten program ma być jesz-

cze rozszerzony na przełomie czerwca/lipca br.

No więc skąd te pieniądze będą? **Po pierwsze Rząd ma jeszcze co robić z nieopodatkowanym szmuglem** przez granicę - tak wschodnią jak, przede wszystkim, zachodnią. Tu rezerwa jest jeszcze duża, a premier Morawiecki to widzi i do tej kontrbandy musi się dobrać. Jak mawiał Wiktor Orban: po pierwsze nie pozwolić okradać społeczeństwa i ukrócić przepływ ogromnych fortun do rajów podatkowych. **Po drugie: produkcja przemysłowa i aktywność eksportowa rolnictwa i przemysłu rolno-spożywczego już idą mocno w górę. Te wyniki kompletnie zaskoczyły ekonomistów, a szczególnie tych co nie szczególnie patrzą na rosnącą w siłę naszą gospodarkę.** Co najciekawsze, nasze fabryki i kluczowe przedsiębiorstwa nie zamierzają spowalniać. Prezes KGHM mówi, że jest spokojny, bo ma coraz większe zapotrzebowanie na miedź, a przy okazji wzrosła produkcja srebra dając Polsce czołową pozycję w świecie. Niemieckie firmy i innych krajów zachodnich rozpatrują możliwość przenoszenia swoich fabryk do Polski. PESA bydgoska nie nadąża produkować tramwajów, produkcja taboru kolejowego schodzi jak ciepłe bułeczki, a jeszcze niedawno upadający CEGIELSKI dzisiaj nie wyrabia z silnikami do statków i z inną towarzącą produkcją. Nawet

wzrosła produkcja Volkswagena w zakładach w Polsce. Styczeń w ogóle zaskoczył ekonomistów w UE, polska produkcja przemysłowa wzrosła o 6,1% w stosunku do stycznia roku poprzedniego. W lutym GUS podał, że dynamika produkcji wzrosła aż o 6,9% licząc rok do roku. Obcokrajowcy postrzegają nas jako kraj sukcesu gospodarczego, pozostawiając rocznie ponad 43 mld zł, z czego większość poszła na zakup materiałów budowlanych i do remontu mieszkań, sprzęt AGD i RTV oraz części samochodowych, a 1,1 mld zł wydali na art. spożywcze i 0,4 mld na usługi. **W gospodarce jest coraz lepiej i stąd obecna władza czerpać będzie przede wszystkim fundusze na poprawę warunków życia Polaków i środki na dalszy rozwój.** Ale czy zadowolili wszystkie grupy, którym też należy się podwyżka płac? W krótkim czasie raczej to będzie trudne i dla państwa ryzykowne. Wzrost poziomu życia musi być wyprzedzany wzrostem gospodarczym. Ale ten może dostać zadyszki przy takim obciążeniu finansowym i kryzysie w UE. Potrzebna rozbudowa naszego rodzimego przemysłu i potrzebna rozdrożność, ale tej u wielu krytyków nie zawsze w nadmiarze.

Krytyka polskiej gospodarki przez niektórych naszych polityków jest coraz bardziej zacięta. Oni wydają się wyznają zasadę, że „im gorzej tym lepiej”. Krytykowanie praworządności przez Timmermansa, nękanie TSUE i straszenie Polski obcięciem funduszy trwa, a produkcja i wskaźniki gospodarcze Polski na tle Unii Europejskiej, jakby im na złość, dalej idą w górę. Recesja w Europie, a na pewno dla Francji, Włoch, Hiszpanii i Portugalii oraz Grecji staje się faktem, a **Polska na ich tle znów mieni się jak gospodarza zielona wyspa.** Aż trudno w to uwierzyć, kiedy patrzymy z jak tragicznej pozycji startowaliśmy po reformach Sachsa-Balcerowicza! Mogłoby być jeszcze lepiej gdyby.... Oto prezydent Warszawy zamówił 213 tramwajów Hyundai w Korei, na wartość 1,8 mld zł, zamiast w polskiej fabryce PESA. Najprawdopodobniej tramwaje Hyundai, z różnych przyczyn, do Polski zgodnie z warunkami przetargu na czas nie przypłyną, a Warszawa może stracić, przeznaczone na ten cel, unijne dotacje. Ale po co taka niechęć do polskich tramwajów, komu ten prezydent zro-

bił na złość? Przecież powinno być dokładnie odwrotnie. Kilka krajów zablokowało import wołowiny z Polski, bo, jak uprzejmie doniosła jedna ze słusznych stacji TV, ubój w jednej z ubojni dokonywano bez właściwego nadzoru weterynaryjnego i dlatego mięso może być złej jakości. Straty rolników poszły w setki milionów, Polska zaczęła tracić rynek art. spożywczych tak ciężko w UE i świecie zdobyty. Podobnych przykładów można podać znacznie więcej. Przy tym część naszych europarlamentarzystów naprawdę solidnie pracuje, aby czasem, broń Boże, Polska nie uzyskała solidnego wizerunku i nie stała się wiarogodnym partnerem w UE. Ta grupa ciągle uprzejmie donosi. Warto śledzić szkalowanie Polski na arenie międzynarodowej z udziałem niektórych polityków z Polski w wątpliwej koalicji z niemieckimi i francuskimi. Taki stan rzeczy może wydarzyć się tylko w Polsce, bo inni u siebie i wobec własnego kraju na coś tak wrogiemu nie pozwalają. To szkalowanie Polski przez swoich ma korzenie historyczne. W gabinecie kanclerza Niemiec, pod portretem rosyjskiej carycy Katarzyny (z pochodzenia Niemki) odnaleziono instrukcję Fryderyka Wilhelma II adresowaną dla dyplomacji europejskiej, datowaną na maj 1791 - pisze Maciej Pawlicki, publicysta tygodnika „Sieci”. Przytaczam tylko fragment: „(...)Tak jak dotychczas Polacy, którzy -w swoim mniemaniu próbują „ocalić swoją zagrożoną wolność” traktowani być mają jako gromada warcholów, którzy nie rozumieją międzynarodowej polityki oraz stanowią zagrożenie dla europejskiego ładu, a także dla samych siebie. Należy ich na wszystkie możliwe sposoby izolować, ośmieszać i kompromitować.(...)Nagradzać należy medalami tych, którzy demontują polskie państwo i blokują próby wzmocnienia go oraz ośmieszają polityczne ambicje Polaków jako groźne mrzonki.(...)”. Póki co, polskie sprawy naprawdę idą w dobrym kierunku jakby na przekór tej historycznej instrukcji, której realizacja dała podwaliny upadkowi Polski w XVIII wieku. Widzimy na naszym gorzowskim podwórku, że udało się uruchomić z beznadziei drogę do lepszego jutra i nie dajmy sobie tego zmarnować, nawet pod nie wiadomo jak wielce szlachetnymi, choć fałszywymi hasłami.

AUGUSTYN WIERNICKI

Wieczny buntownik, który prz

Zdzisław Morawski - pisarz, poeta i animator kultury, nieco już zapomniany, ale właśnie na nowo odkrywany.

Za sprawą powieści, która się niedawno ukazała, a o której piszemy w innym miejscu. Tu przypominamy jego postać w reportażu Bogdana J. Kunickiego, który został opublikowany w 1996 roku w książce „W przestrzeni tęczy” wydanej przez Agencję Dejamir.

Poeta

Wyjątkowo dobrze pamiętam tamten dzień sprzed ćwierć wieku. Trudno się zresztą dziwić, skoro miał rozstrzygać o mojej przyszłości, o całym dorosłym życiu. 7 marca 1970 roku pierwszy raz znalazłem się w Gorzowie. Miasto robiło fatalne wrażenie: wiosenne roztopy pozostawiły na ulicach brudne oczka kałuż, a nieliczne samochody rozbrzyziwały fontanny wody na przechodniów, wspaniałe słońca wydobywało surrealistyczne faktury odrapanych budynków śródmieścia. Przypominam sobie jeszcze niemiłosiernie zgrzytające tramwaje, z których tubylcy uczynili dumny symbol wielkomiejskości, niedostępny stolicy województwa, by w tak dziwny sposób rekompensować sobie kompleks Zielonej Góry. Lustacja „pejzażu wizualnego miasta” - takie bowiem mądre określenia kołatały się wtedy po nabitej fachową wiedzą głowie studenta ostatniego roku socjologii - wypadła zatem dość przynębiająco i raczej odrzucała od chęci pozostania gorzowianinem. Jedynie, co przybysza z centralnej Polski mogło tutaj ujmować, to ludzie - serdeczni, dobroduszni, otwarci. Zaczepiałem przechodniów pytając godzinę, choć na rękę miałem Blonex (ponoć najszybszy zegarek świata) prosto z podwarszawskiej miejscowości Błonie. Nagabywałem kioskarkę o drogę na dworzec, choć właśnie stamtąd wracałem. A wszystko po to, aby dowiedzieć się czegoś o mieszkańcach Gorzowa, którymi ewentualnie miałem się w przyszłości otaczać, dzielić wspólne losy.

Dyrektor „Juty” (jak obiegowo zwano wówczas zakłady jedwabnicze, dzisiejszą „Silwanę”), który zaproponował mi pracę u siebie, gorąco zachwalał miasto, roztaczając swoją słynną - o czym się dopiero potem dowiedziałem - teorię o „ptakach” i „krzakach”. Przedstawiał dobrodziejstwa płynące z obecności teatru, lokalnej gazety, najsilniejszego w kraju klubu żużlowego, wabił malowniczością okolicznych lasów i jezior.

- Mamy również w Gorzowie świetnego poetę - powiedział na koniec, wymieniając jakieś, zupełnie mi nieznajome nazwisko. Widać poeta ów zaliczał się tutaj do lokalnych atrakcji na równi z Pogorzelskim czy Migosiem. Nie sądzę jednak, aby ten właśnie argument zaważył na mojej decyzji, ale coś w nim było. Koledzy serdecznie przestrzegali przed jałowością kulturalną i zabójczą dla ambitnych młodzieńców atmosferą zaścianka, a przyjaciel, Carlos, zamiar osiedlenia się na prowincji uważał nawet za przejaw masochizmu i akt samodestrukcji. Z tym zabójczym klimatem wokół indywidualności nie jest tutaj chyba tak źle, skoro w świadomości mieszkańców - pomyślałem, przywołując w pamięci postać rudego dyrektora - ozdoba miasta stanowi pisarz.

Samego poetę poznałem kilkanaście miesięcy później - wiosną AD 1971. Siedział przy pierwszym stoliku kawiarni MPiK i perorował tubalnym głosem. Siwy, starszy - jak mi się wydawało - pan, przewodzący wianuszkowi lokalnej, wpatrzony weń inteligencji. Niezbyt zresztą mile wspominam tamto spotkanie, ograniczone do wymiany paru zdawkowych uwag pomiędzy kimś, kogo już wtedy otaczała miejscowa legenda a człowiekiem z zewnątrz, znikąd - intruzem. Ale wkrótce wszystko miało się zmienić.

Legenda Zdzisława to rzecz godna wytrawniejszego pióra. Wiele jej wątków sam powoływał do życia. Własne lapsusy przekuwał zrećznie na sentencjonalne mądrości, przypadkowym łamańcom językowym nadawał rangę epokowych odkryć i bawiło go niezmiennie, gdy udawało się kogoś tymi odkryciami zwieść. Potrafił celebrować każde, nawet skądinąd błahe zdarzenie, jeśli tylko odsłaniało jakąś pozytywną stronę jego osoby, jeśli mogło posłużyć dekoracji artystycznego życiorysu, nobilitacji w oczach środowiska. W jego ustach urastało ono wówczas co najmniej do rozmiaru anegdoty, którą dopóty się w gronie kolegów delectował, aż wszyscy uwierzyli w jej niezwykłość. Relacjonując, liczne i częste zresztą, kontakty z koryfeuszami polskiej literatury zawsze umiał tak je przedstawić, iżby nie było wątpliwości, że Zdzisław wśród tych koryfeuszów wiezie prym. On, niewątpliwie arystokrata umysłu, przywiózł sobie kiedyś z Warszawy godność Księcia: któryś z kolegów po piórze takim go mianem przekor-

nie określił, Zdzisław tu, na miejscu, rozdmuchał incydent do rozmiarów historycznego wydarzenia, obudował ceremoniałem sprawiającym wrażenie, jakby w całym literackim światku była to powszechnie stosowana wobec niego, a naturalnie mu należąca tytułatura. Tkwił w przekonaniu, że tak na co dzień zwracał się doń Sandauer, Kubiak, cały czubek krajowego Parnasu i tylko przyrodzonej skromności Zdzisława przypisywać należy brak orkiestry oraz czerwonego dywanu na stołecznym dworcu, gdy pojawić się tam raczył gorzowski książę. Trudno dociec, ile w tym było próżności i pychy, ile zaś pogodnej autoironii, świetnej drwiny z siebie, a jeszcze bardziej z prowincjonalnego otoczenia, niezmiennie czulego na metropolitarne dowody uznania. Jakkolwiek bądź, do zbudowania swej legendy przyczyniał się Zdzisław znakomicie, a pokrywając wyniosłym milczeniem inne szczegóły życiorysu ciągle zagęszczał wokół siebie atmosferę tajemniczości, pozostawiając miejsce na kolejne mity.

Ale też życiorys jego pełen był wydarzeń i barwnych, i dramatycznych, nierzadko oplecionych nieudolnościami, atmosferą sensacji, a takie ze swej natury łatwo poddają się mitologizacji. Urodził się we wrześniu 1926 roku na peryferiach Aleksandrowa.

Dodać trzeba koniecznie, że Aleksandrowa Kujawskiego, był bowiem Zdzisław z tego pochodzenia niezwykle dumny i często je podkreślał. „U nas, na Kujawach...” - powiedział, cytując dosadne ludowe powiedzonko, wspominając tamtejsze zwyczaje, obrządk. Z dzieciństwa, głównie dzięki ojcu, wyniósł miłość do literatury, silną potrzebę aktywności społecznej i lewicową orientację polityczną. Jako kilkunastoletni chłopiec skierowany zostaje podczas wojny na roboty przymusowe do fabryki samolotów pod Poznaniem, ucieka jednak i ukrywa się w piwnicy rodzinnego domu. Zabrzany w łapance trafia do zakładów zbrojeniowych w okolicach Berlina, ale tak skutecznie symuluje chorobę, że uzyskuje zwolnienie. Wkrótce, po raz trzeci wywieziony przez okupanta, tym razem do Bielawy, pracuje jako pomocnik furmana zwożącego drzewo z gór. Z końcem wojny wraca w rodzinne strony, na krótko zatrudnia się w aleksandrowskim magistracie, a potem przez dwa lata jest funkcjonariuszem Minis-

terstwa Bezpieczeństwa Publicznego na terenie powiatów Szubin i Nowe Miasto. Zwolniony, opuszcza Kujawy i przenosi się na Dolny Śląsk, parę miesięcy robi w fabryce konfekcyjnej, wreszcie trafia na trzymiesięczny kurs w wojewódzkiej szkole PPR we Wrocławiu, po którym pierwszy raz przyjeżdża do Gorzowa, gdzie wcześniej osiadła jego rodzina. Odtąd - od 1947 roku - datują się jego związki z naszym miastem, na razie jeszcze epizodyczne, choć bez wątpienia istotne dla przyszłości. Jest instruktorem, potem sekretarzem komitetu miejskiego PPR, po zjednoczeniu zaś - Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wkrótce oddelegowany zostaje do pracy partyjnej w Świebodzinie, a następnie (1949 r.) odbywa roczny kurs Centralnej Szkoły PZPR w Łodzi i przechodzi do wydziału szkolenia KC PZPR w Warszawie. Tu również nie zagrzewa miejsca - te ciągłe zmiany pracy połączone z wędrówkami po kraju stanowią będą osobiwość całej jego młodzieńczej kariery - przeniesiony do Centralnej Rady Związków Zawodowych trafia do Szczecina, gdzie pełni obowiązki dyrektora szkoły kształcącej związkowych działaczy kulturalno-oświatowych, a potem do Czerwieńska jako zastępca kierownika szkoły kultury fizycznej CRZZ. Wraca do centrali, lecz błyskotliwie zapowiadająca się kariera młodego działacza partyjnego zostaje nagle zachwiana: skierowany do podwarszawskiej mieściny „awansuje” na dyrektora. Właściwie jednak jest to rodzaj zsyłki - typowa wówczas praktyka wobec ludzi niechętnie widzianych w kręgach partyjnych. Zawsze niepokorny - znamy tę cechę charakteru z czasów, kiedy był dojrzałym, statecznym człowiekiem, tym łatwiej więc wyobrazić sobie można postawę zbuntowanego młodzieńca - zyskuje opinię rewizjonisty: rozumiał, że towarzysze z ulgą pozbyliby się takiego towarzystwa. Wkrótce nadarza się okazja: w styczniu 1954 roku Morawski zostaje aresztowany pod enigmatycznym pretekstem i przez 19 dni przebywa w więzieniu. Prokurator wprawdzie przyzna się potem do pomyłki, ale zabrana przy zatrzymaniu legitymacja partyjna nie wraca do właściciela: odzyska ją dopiero w 1959 roku po uprzedniej rehabilitacji i zaliczeniu całego piętnastoletniego stażu członkowskiego. Jednak w tamtym okresie - w



Przy legendarnym Stolicu nr 1 w dawnym MPiK-u. Od lewej: Z. Morawski, Michał Puklicz oraz Andrzej Gordon

apogeum stalinizmu - odebranie legitymacji było karą cięższą niż więzienie, oznaczało bowiem śmierć publiczną. Morawski usiłuje dochodzić racji w warszawskiej instancji, w odpowiedzi słyszy jednak, że dla takich, jak on, jest miejsce tylko w kopalni lub kamieniołomach. „Dodać tu muszę - napisze później - że autentycznie nie mogłem dostać pracy, gdyż wszystko to, co mogłoby świadczyć za mną świadczyło przeciwko mnie: nie miałem legitymacji, chociaż nikt mnie z partii nie usuwał, byłem byłym pracownikiem KC, a to też było dziwne widziane, bo przecież byłem byłym pracownikiem. Na granicy kompletnej rozpacz, nie mogąc znaleźć sprawiedliwości, postanowiłem jej nie szukać więcej i na przekór sobie, światu, na znak buntu pojechałem do pracy w kamieniołomach [w Gębczycach - przyp. BJK], jak paskudnie poradzili mi towarzysze. Oczywiście, że i tam długo nie pracowałem: jesienią 1954 roku na skutek fatalnych warunków bhp wózek z ładunkiem kamienia przejechał mi nogę na podudziu i znalazłem się w szpitalu w Strzelinie, a później w różnych klinikach leczono mnie przez dwa lata. W roku 1956 amputowano mi nogę, gdyż zapalenie szpiku kostnego groziło dalszymi powikłaniami dla organizmu. Bądź co bądź przez okres dwóch lat przeszedłem przez dwa lata szpitala i sześć ope-

racji kosztnych, za pomocą których lekarze chcieli mnie wyleczyć”.

Po tych bolesnych doświadczeniach wraca do rodziców, do Gorzowa. Szuka nowego miejsca dla siebie, nowego zajęcia. Zaczyna pisać. „Ktorego jesiennego dnia 1956 roku - wspomina Romuald Szura - Zdzisław o kulach zjawił się w biurze przedsiębiorstwa handlowego (gdzie pracowałem od dwóch lat), z plikiem swoich wierszy. Miałem ocenić wartość napisanych przez niego utworów. Po wstępnej lekturze wydawały mi się one chropowate, dziwne kanciaste, jakby utoczone z kamienia. Byłem wtedy jedynym chyba wierszokletą w Gorzowie. Publikowałem już moje liryki w czasopiśmie społecznych i kulturalnych. Dlatego zapewne zjawił się u mnie Morawski. Pamiętam, sprawiał wrażenie człowieka zmęczonego, złamanego przez jakiś okrutny los, człowieka, który znalazł się nagle jakby w nowej rzeczywistości i próbuje odnaleźć się w wierszach, w świecie łagodnym, pozbawionym dramatów. Wydaje mi się, że wtedy, w 1956 roku, w swoich próbach literackich Zdzisław Morawski chciał uciec z kamieniołomu, gdzie pracował po konflikcie z władzami partyjnymi w Warszawie, bo nigdzie nie mógł dostać pracy”.

Jego odyseja powoli zbliża się do końca, stopniowo kryształuje się to, co stanowić będzie w przyszłości sens

ede wszystkim stał się poetą



wski, Piotr Steblin Kamiński, Hieronim Świerczyński, Mieczysław

życia. Raz jeszcze Zdzisław opuści Gorzów i kilkanaście miesięcy przełomu lat 1957/58 spędzi w Zielonej Górze, gdzie zajmuje się m.in. organizacją Lubuskiego Towarzystwa Kultury, współtworzy „Nadodrże”, jedno z najciekawszych później regionalnych czasopism społeczno-kulturalnych. W 1957 roku debiutuje: w tym i w następnym roku na łamach kilkunastu czasopism ukazuje się kilkadziesiąt jego wierszy, autor zaś uzyska III nagrodę w prestiżowym konkursie ZLP, tym bardziej satysfakcjonującą, że przewodniczącym jury był sam Jarosław Iwaszkiewicz.

Kształtowanie się literackiej osobowości Zdzisława Morawskiego - zrazu wyłącznie poety, później także prozaika, dramatopisarza, publicysty, wreszcie eseisty i tłumacza - przypada na schyłek lat pięćdziesiątych i początek sześćdziesiątych. Rok 1959 przynosi debiut książkowy: „Pejzaż myśli” jest zarazem pierwszym tomikiem lubuskiego autora wydanym przez profesjonalną oficynę. W 1961 r. Morawski zostaje przyjęty do Związku Literatów Polskich i - wspólnie z T. Kajanem, J. Koniuszem, W. Korsakiem, B. Solińskim oraz E. Wachowiakiem - zakłada w Zielonej Górze oddział ZLP. Jako powieściopisarz debiutuje „Kwartalem bohaterów” (1965), a potwierdzeniem jego prozatorskich możliwości staje się druga powieść „Nie

śłuchajcie Alojzego Kotwy”, która w 1970 r. wygrywa ogólnopolski konkurs wrocławskiego „Ossolineum”, lecz ze względów cenzorskich długo nie może się ukazać: ostatecznie drukuje ją PIW w dziewięć lat później. W 1966 r. dramat „Wilcze doły” otrzymuje wyróżnienie w konkursie debiutów „Ateneum”: sztukę wystawia wkrótce gorzowski teatr. W naszej świadomości Morawski pozostaje nade wszystko poetą, choć w rzeczywistości był pisarzem wszechstronnym. Stosunkowo słabo znana, nawet najbliższemu otoczeniu, jest jego twórczość dramaturgiczna, a dorobek to przecież pokaźny, składający się z dwunastu (z których połowa doczekała się inscenizacji) dramatów oraz ośmiu słuchowisk radiowych, w większości zrealizowanych przez zielonogórską rozgłośnię Polskiego Radia: część z nich, np. „Zegary” prezentowano również w programie ogólnokrajowym. Imał się także pracy translatorskiej, tłumacząc rosyjskie wiersze W. Gordiejczewa, dokonując przekładów poetyckich z języka niemieckiego. Przez te wszystkie lata prowadził jednocześnie ożywioną działalność publicystyczną i eseistyczną na łamach prasy regionalnej i ogólnopolskiej.

Szczególną jednak satysfakcję czerpał z pracy w Związku Literatów Polskich: tu był wśród swoich, tu znajdował potwierdzenie pisar-

skiej tożsamości, spotykał do wody szacunku dla własnej postawy życiowej i artystycznej. Środowisko obdarzało go niemalym zaufaniem, powierzając rozmaite funkcje, m.in. przewodniczącemu Komisji Rewizyjnej Zarządu Głównego ZLP, a później członka tejże komisji oraz prezesa lubuskiego oddziału, którą pełnił do chwili rozwiązania związku w stanie wojennym. Mimo rozległych kontaktów, mimo intensywnego działania publicznego, w Gorzowie był chyba artystą, w gruncie rzeczy, samotnym. To jest cena, jaką zwykle płaci twórca oryginalny, niezależny, któremu przyszło żyć w ośrodku mimo wszystko prowincjonalnym, izolowanym, pozbawionym tego, co Zdzisław cenił najwyżej - więzi intelektualnych. Odżywał, kiedy wyjeżdżał do kolegów w Warszawie czy Poznaniu: przy kawiarnianym stoliku zdawał nam potem drobniagowe relacje, gęsto osładzając je anegdotami. Tu, na miejscu, narzekał na jałowość otoczenia, płytkość myślenia, marginalność problemów podejmowanych w codziennych rozmowach. Gdy mu zanadto doskwierały, uciekał w poezję, aby spierać się z ulubionymi myślicielami starożytnymi lub wieść dialog z samym sobą. A że miał duszę otwartą na ludzi i dla ludzi, po jakimś czasie opuszczał swą intymną samotnię i na nowo oddawał się działalności publicznej. W ostatnim okresie zaangażował się w pomysł pisarskiego stowarzyszenia, mającego na celu integrację Intelktualistów po obu stronach Odry dla przełamywania narodowych uprzedzeń, likwidacji irracjonalnych fobii wyrastających z przeszłości, budowania nowego ładu intelektualnego dla przyszłej Europy. W ten sposób powstało Niemiecko - Polskie Stowarzyszenie Literackie z siedzibą we Frankfurcie nad Odrą: Z. Morawski został jego pierwszym prezesem i redaktorem naczelnym dwujęzycznego periodyku „Prom”: pierwszego numeru gotowego już czasopisma Zdzisław, niestety, nie doczekał.

Traktowanie pisarstwa, jako misji intelektualnej zawsze u Zdzisława szło w parze z poczynaniem społecznego posłannictwa: pielęgnował tym samym te wspaniałe tradycje polskiej inteligencji, które nie pozwalały zamykać się w obrębie własnych li tylko problemów, które bycie dla innych i działanie na rzecz innych podnosiły do rangi moralnego imperatywu, obligatoryjnej

cnoty. Dlatego właśnie naturalną pasją Morawskiego stała się praca dla otoczenia i wszystko, bądź niemal wszystko, co ważnego powstało w gorzowskiej kulturze, powstało z powodu lub w związku z jego osobą. W latach pięćdziesiątych, kiedy rozpoczynał tutaj swą drogę literacką, należał do pierwszych, jeszcze wtedy nielicznych siewców wysokich aspiracji miasta, od sześćdziesiątych, gdy był już poetą dojrzałym, wiódł prym i nadszedł tempo poczynaniom miejscowego środowiska.

A trzeba pamiętać, że Gorzów początków siódmej dekady to miasto w gruncie rzeczy dosyć zapyziałe, choć nietuzinkowe. Odradzał się tutaj teatr - przez długie lata jedyna zawodowa placówka artystyczna - który skupiał wokół siebie różniamienny krąg spragnionej kulturalnych wydarzeń inteligencji, pełniąc - raz lepiej, innym razem gorzej - funkcję miejscowego salonu. Kontakty mikroskopijnej zbiorowości twórców sprowadzały się głównie do życia towarzyskiego wokół tzw. Stolika Numer Jeden, poczynania artystyczne zaś - do działalności amatorskiej, w której spektakularne sukcesy odnosili jedynie fotograficy. We wszystkich tych zjawiskach Zdzisław uczestniczył jako animator i rzecznik ponadpowiatowych ambicji. Te będą się mogły urzeczywistniać dopiero w następnej dekadzie, gdy do Gorzowa przybywa wielu młodych artystów (zwłaszcza plastyków) i kiedy stworzenie tutaj odpowiednich warunków pracy twórczej stanie się nie tyle kaprysem kilku parnasistów, ile koniecznością. Z dobrze przygotowanej poprzednio, użyźnionej gleby wyrastała idea Gorzowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego i jego periodyku - „Ziemi Gorzowskiej”. Inicjatorem obydwu przedsięwzięć jest oczywiście Morawski, on też obejmuje funkcję prezesa stowarzyszenia oraz redaktora naczelnego czasopisma. Wprawdzie po paru latach demonstracyjnie z nich zrezygnuje, lecz pozostawi ruch społeczny wystarczająco okrzepły, zdolny promować i realizować karłowatnie ambitne pomysły, wyznaczał i pobudzał nowe aspiracje twórcze coraz liczniejszego środowiska. Ten rozdział lokalnej historii nazwie później Zdzisław „dobrym okresem Gorzowa”. Sam był tej historii postacią centralną: jeśli nie najważniejszą, to bez wątpienia pierwszą wśród ważnych.

W intelektualno-artystyczny światek Gorzowa pierwszych lat siedemdziesiątych powoli zapuszczałem korzenie, między innymi za sprawą Zdzisława, który wciągnął mnie do współpracy z „Ziemią Gorzowską”, uczynił potem jej redaktorem. Stał się recenzentem moich pierwszych tekstów. Życzliwym, ale wydawało mi się wtedy - przesadnie surowym, bezwzględny i bezdusznym. Grzmiał rzadko. Kiedy nie podobał mu się jakiś fragment artykułu, filuternie mrużył jedno oko, przyklejając do warg kpiarski uśmiech. Widać było, że coś jest nie tak. Rzadko pomagał wprost, raczej zmuszał do samodzielnego poszukiwania przyczyn niezadowolienia. Czasem przywoływał jakąś anegdotkę z wielkiej literatury, jakąś metaforyczną konstrukcję i tą analogią sugerował zmiany. Od inteligencji ofiary zależało, czy udawało się jej trafnie odczytać oczekiwania Zdzisława. Był skąpcem, wręcz sknerą, gdy szło o pochwały. Ta powściągliwość miała uczyć szacunku do słowa i pokory tworzenia. Często zarzucałem mu, że krytyka płynie u niego potokiem, a uznanie kropkami. Bardzo się z takiej oceny cieszył: naczelnym - powiedział - musi dla autorów wyglądać groźnie, aby się czytelnicy z nich potem nie śmiali. Wiele od innych wymagał, lecz taką samą miarę stosował do siebie i własnych poczynañ - wystarczy wiedzieć, ile rozmaitych wersji miewał każdy wiersz zanim go opublikował, a i te wydrukowane ciągle doskonalili, szukał dosadniejszych metafor, zmieniał strofy w kolejnych edycjach.

Co naprawdę myślał o każdym z nas, jakie cenzurki we własnych opiniach wystawiał każdemu, trudno było ocenić. Uzewnętrzniane opinie byłyby chyba mniej życzliwe a bardziej zjadliwe, niż prawdziwe, skrywane dla siebie przekonania. O ludziach miał bodaj lepsze zdanie od tego, które przekazywał kolegom wprost, jakby bał się rozpieszczać ich nazbyt dobrym słowem. Surowość, z jaką pospołu traktował i niedoświadczonych adeptów, i artystów uznanych, przyniosła mu opinię człowieka rzekomo tłamszącego indywidualności wokół siebie: zarzucano mu nawet, że chciał wydawać się wielki przez pomniejszanie swego otoczenia. To jeden z wielu niesprawdliwych mitów. Zdzisław nie musiał błyszczeć kosztem innych, to raczej inni mienili

się światłem odeń odbitym. Istotnie, bywał bezkompromisowy, czasem na granicy małostkowości, lecz tę oschłość czerpał z mądrej wrogości nie wobec człowieka, ale wobec tandety. A tej przecież wokół niemało. Ci, którzy ją produkowali masowo, którzy bylejąkość dawali zamiast rzetelnej monety, rzeczywiście na Zdzisławową pobłażliwość liczyć nie mogli. W takich sytuacjach nie potrafił powstrzymać języka, podporządkować go układowym konwenansom, przeto hufiec osób przetrąconych jego słowem - poszkodowanych, dotkniętych, uprzedzonych - zwiększał się z tygodnia na tydzień. Kiedy atakował kogoś z kolegów, kwitowaliśmy to wzruszeniem ramion: „Morawskiemu, jak zwykle, nic się nie podoba”. To całkiem chyba naturalna postawa obronna - udawanie, że nas to nie rusza i nie dotyczy, że nas tu w ogóle nie ma. Lecz tak naprawdę nikt nie pozostawał obojętny na jego opinie. Na tej bolesnej szczerości i dotkliwej krytyce zbudował imponujący autorytet w środowisku, którego był wielką indywidualnością. Bodaj największą, jaka się pojawiła w pięćdziesięcioletniej historii Gorzowa.

Tak naprawdę, najszybciej myśli Zdzisława poznałem dopiero po jego śmierci, dzięki prywatnemu dziennikowi, jaki prowadził przez ponad dwadzieścia lat, udostępnionemu mi przez żonę poety, Marię Morawską. Tytułował ów bezcenny rejestr bieżących spostrzeżeń, wnikliwych uwag dość różnie: Notatki osobiste, Zapiski codzienne lub, po prostu, Zapisy. Powstała w ten sposób ogromna - obejmująca 30 pękatek skoroszytów dużego formatu, prawie trzy tysiące gęsto zapisanych stron - spuścizna, wspaniale oddająca pasję, roztierki, gniewy, radości: to wszystko, czym żyje człowiek, zwłaszcza umysł wrażliwy i refleksyjny. Sporządzał notatki bardzo skrupulatnie, systematycznie, niemal każdego dnia: tu, na miejscu, ale też wszędzie, gdzie go zawiodły losy - w podróży na urlopie, podczas artystycznych sympozjów, partyjnych narad, zebrań Związku Literatów Polskich. Pełno w nich faktów pospolitych, ale i nadzwyczajnych, spostrzeżeń prostych, ale i głęboko filozoficznych. Kreślił życie codzienne i ważne wydarzenia przewijające się obok, demaskuje wiele fałszywych mitów i sam powołuje nowe. Szkicuje wizerunki lu-

dzi dobrze znanych w Gorzowie - miejscowych artystów, działaczy kulturalnych, dyrektorów, polityków - oraz portrety krajowych osobistości, znajomych artystów, literatów, polityków. Był Zdzisław na co dzień człowiekiem drapieżnym, otwarcie wygłaszającym sądy o ludziach i sytuacjach, ale szczerść tych zapisków jest szczególnie, chwilami wręcz brutalna. Nie oszczędzał nikogo, choć zarazem starał się zrozumieć motywy cudzego postępowania, czasami bywał stoicko tolerancyjny, czasami z byle powodu napastliwy. Wiele osób wołałoby zapewne, aby opinie te nie ujrzały światła, by uwiędły w szufladzie na zawsze. Ale - powiadali Rzymianie - Amicus Plato, amicus ocrates, sed magis amica veritas. Nie ma racjonalnych przesłanek, byśmy unikali poznawania tego, co inni naprawdę o nas myślą.

W początkach mej gorzowskiej drogi pozostawaliśmy w wielkiej ze sobą zażyłości. Wyjeżdżaliśmy często nad okoliczne jeziora. Miał ekskluzywnego opła commodore, ktoś więc, bodaj Wiesiek Strebejko, nazwał Zdzisława Komandorem i tytuł ów w za-przyjaźnionym gronie krążył parę dobrych lat. Spacerując po leśnych duktach niczym ateńscy perypatetycy, wiedliśmy namiętne spory już to o Platona i jego filozoficzne konstrukty, już w sprawach przyziemnych - o jakimś błyskotliwym artykule na łamach „Życia Literackiego”, o niedolach gorzowskiej kultury, o politycznej rzeczywistości do której mieliśmy raczej krnąbrny stosunek. Gościliśmy się wzajemnie w domu. Dawał mi wówczas do czytania swoje niepublikowane wiersze - zrudziałe maszynopisy utworów za-trzymanych przez cenzurę i te zupełnie jeszcze świeże - pokazywał prywatne listy Iwaszkiewicza, Przybosia, Sandauera. Pamiętam wieczory, gdy syciliśmy się współczesną poezją grecką, odkrywając wciąż nowe jej przekłady, i gdy rozbiegaliśmy metafory Kawafisa, zamartwiając się „Cóż my teraz pocznemy bez barbarzyńców? Oni byli jakimś rozwiązaniem”. Przede wszystkim jednak zachłannie rozmawialiśmy.

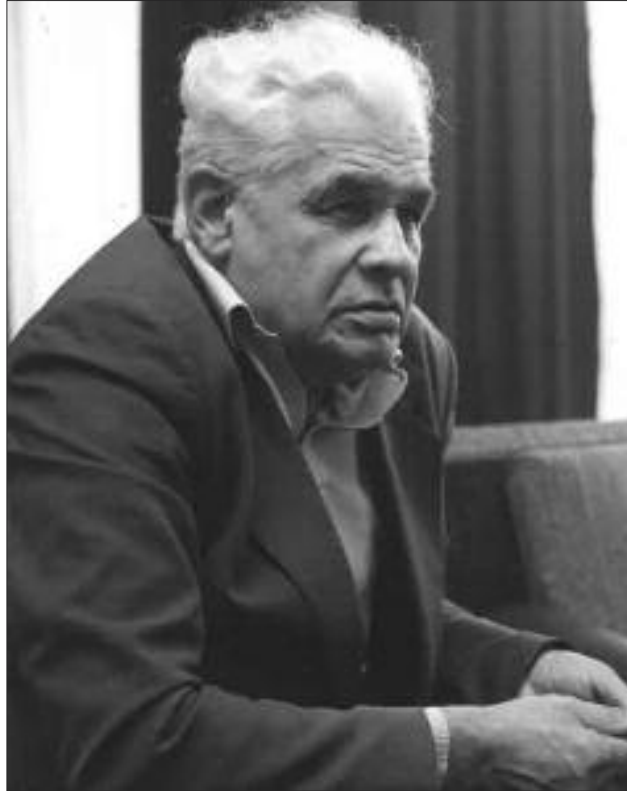
A rozmawiać ze Zdzisławem znaczyło przede wszystkim potykać się na słowa. I była to wielka przyjemność, i był ciężki trud zarazem. Znał tajemne zawłoki erystryki, sofizmami posługiwał się z tak naturalną swobodą, jakby nauki pobierał w samej Megarze. Trzeba było nieustannej czujności, aby się nie dać wywieść na manowce, nie

ulec wdziękowi przewrotnej argumentacji, dotrzymać pola w zapasach. Kochałem tę atmosferę nieomal platońskiej „Uczty”, kiedy towarzystwo rozmawia po kolacji o rzeczach mądrych. Bawiąc się. Chwilami puste, dziecinne prawie żarty, chwilami bajka i mit, to znowu rozkoszna gra słów wieloznacznych i gra na trudnym instrumencie dobrej mowy, chwilami zachwyty myślowe i słowa oderwanych objawień, to znowu apoteoza człowieka, pana nad sobą i pana nad otoczeniem. Kobiet nie ma, a jest nastrój kwiatów w powietrzu; drewnianych uczonych nie ma, a jest atmosfera jasnej, prostej a bystrej myśli, niby blask jasnych oczu Pallady; jest rozkosz myślenia pojęciami ogólnymi, niby stąpanie po szczytach tam, gdzie obłoki blisko, a niżej gaje róż”. W naszych biesiadach było coś - może nawet bardzo wiele - z tamtego nastroju.

W atmosferze wadzenia się o akuratność słów powstał „Toast Sokratesa” i któryś z wierszy, bodaj „Pod gorzowskim platanem”, zadedykowany mnie. Ale zanim doszło do jego publikacji, nasze kontakty nagle - nie pierwszy, nie ostatni raz - wystygły. Nigdy j zresztą nie próbowaliśmy później ustalić przyczyn nieporozumienia, dość jednak, że Zdzisław ze złością skreślił moje nazwisko i wiersz ukazał się w druku bez dedykacji.

Jedynym świadectwem pozostał manuskrypt, który wiele lat potem oglądałem zaskoczony na wystawie w muzeum.

Podobnych zawirowań w stosunkach między wymagającym Mistrzem a niepokornym uczniem bywało sporo. I przyszedł moment, kiedy myślałem, że nasze drogi rozchodzą się ostatecznie. Na zebraniu w empiku - jednym z częstych wtedy konwentyków naiwnych zapaleńców, pragnących uzdrowić gorzowską kulturę - Zdzisław gorąco zachęcał do powołania jakiegoś tam ciała społecznego, rady czy stowarzyszenia. Ale gdy pomyśl zaowocował konkretami i przyszło do wyboru reprezentantów nagle wycofał się. Powiedziałem wtedy publicznie, że postępuje amoralnie - najpierw wszystkich do czegoś zachęca, a potem staje z boku odmawiając pomocy. Zdzisław jakby na to właśnie czekał: spiorunował mnie wzrokiem i zagrział, że w towarzystwie, które zarzuca mu brak zasad moralnych on przebywać nie będzie. I demonstracyjnie z naburmuszoną miną, pośród grobowej ciszy wyszedł. Wszyscy wiedzieli, że chodziło o pretekst, bo nie takie przewiny na co dzień bezkarnie rzuca-



Z. Morawski był poetą, ale również prozaikiem, eseistą, tłumaczem i publicystą

liśmy sobie w oczy. Coś mu się jednak w całym przedsięwzięciu nie spodobało, chciał się wykreślić, ale tak, by mu nikt nie zarzucił zaniechania czy obojętności - nie tak zwyczajnie, lecz z ambicjonalną korzyścią dla siebie. Może istotnie szło o sprawy wielkie, a może, po prostu, znudziły go kaskady pustosłowia lub Malina czekała z kolacją? W końcu był mistrzem wynajdywania pretekstów, potrafił je wyczarować z powietrza i zawsze zgrabnie wykorzystał, gdy coś go przestawało interesować lub zbyt długo na horyzoncie nie pojawiał się - autentyczny, a z braku takowego przynajmniej wymyślony - wróg: ów barbarzyńca bez którego źle. Nazajutrz spotkaliśmy się, jak zwykle, w kawiarni. Moja wyciągnięta na powitanie dłoń na moment zawisła w próżni, czułem wahanie Zdzisława, widziałem na jego twarzy walkę rozumu i emocji. Potem, jak wrogowie, którzy muszą dojść do porozumienia - podaliśmy sobie ręce. Wrócił rzeczy porządek. Do dziś nie wiem - i wiedzieć tego już, niestety, nie będę - czy tamto wahanie było naturalne, czy może tylko udawane, starannie wystudiowane, aby ukarać kontestatora?

Sam zresztą miał opinię wiecznego buntownika. „Wiele zrobił dla miasta - pisał o Zdzisławie H. Ankiwicz - a jednak ciągnie się za nim opinia człowieka konfliktowego i kapryśnego w kontaktach z władzą, z czego pisarz w dodatku jakby czerpał dobre samopoczucie”. Rzeczywiście, to był jeden z pospolitych stereotypów otaczających postać Morawskiego. I, trzeba przyznać, że ciężko, solidnie nań zapracował. Jak bowiem inaczej oceniać człowieka, który

notorycznie zachowuje własne zdanie, najczęściej odmienne od kursu oficjalnego, choć praktyczny oportunizm nakazuje milczeć? Nie dość, że w wielu kwestiach głosi poglądy inne od obowiązujących pokornego członka partii, to jeszcze - co gorsze - publicznie te herezje wypowiada, pisze manifesty, listy otwarte.

Jak inaczej osądzić działacza partyjnego o niewątpliwie szczerze lewicowych przekonaniach, który po brutalnej rozprawie milicji z opozycyjną demonstracją w sierpniu 1982 r. ogłasza solidarność z pobitymi i na znak protestu manifestacyjnie składa dymisję z wszelkich społecznych funkcji? Jak traktować kogoś, kto najpierw zaciekle walczy z administracją przeciw powołaniu Gorzowskiego Towarzystwa Kultury, potem zaś zostaje jego pierwszym prezesem, by po kilkunastu godzinach z hukiem z szczytu zrezygnować? Kiedy prezesował gorzowskim stowarzyszeniom - a były to za-zwyczaj ich wielkie dni - kiedy prowadził sławetną jednodziwkę „Ziemie Gorzowską”, gdy pisywał felietony do „Nadodrza” czy „Gazety Lubuskiej” nagle, z godziny na godzinę, zrywał współpracę, odchodził z trzaskiem, który niósł się po całej Ziemi Lubuskiej. Na dobrą sprawę nigdy nie było wiadomo, jak postąpi nazajutrz. Wiele, bardzo wiele zachowań Zdzisława - tych w stosunkach oficjalnych i w układach koleżeńskich - zdawało się potwierdzić opinię osoby konfliktowej, chimerycznej. Ale nie były to chimery prawdziwe, niekontrolowane, przypadkowe - instynktowne odruchy żalu czy złości. Raczej jakaś sprzeczka intelektualna z samym

sobą, jakiś bunt wobec potulnie myślącego otoczenia. Morawski nie należał do ludzi podejmujących decyzje z pobudek emocjonalnych, nawet jeśli i chciał takie wrażenie sprawić. Wręcz odwrotnie - czynił to z zimnym wyrachowaniem, doskonale panując nad uczuciami i jasno zdając sobie sprawę z konsekwencji czynu. To zaś, że czasem nie ujawniał prawdziwych motywów, że nie zwierzał się otoczeniu (miał zresztą do niego, a nie bez powodów, ograniczone dosyć zaufanie) jedynie podsycaly podejrzliwość i odczytywane były jako kolejny dowód labilnego charakteru, bądź nawet cynizmu. Ów brak subordynacji, którego nie dawało się w żaden sposób wykorzenić, liczne i ostre (choć zazwyczaj krótkotrwałe) konflikty z najbliższym środowiskiem czy z władzami sprawiały, że za-szczytów dostępował zwykle nie w porę i zawsze zbyt późno, po paroletnim oczekiwaniu w „kolejce”: tak było z nagrodą „Nadodrza”, Nagrodą Gorzowską, Lubuską Nagrodą Kulturalną.

Dla obcych był Zdzisław prostoduszny, otwarty i chętny. Czego oni chcą od Morawskiego - dziwili się ci, co pierwszy raz z nim rozmawiali - przecież to taki miły, kulturalny i pan. Rzeczywiście. Dla bliskich jednak nie zawsze pozostawał takowym - partnerem był raczej trudnym, skomplikowanym, raz wspaniałomyślnym, za chwilę piekielnie zjadliwym, to znowu kostycznym. Kąśliwym wobec przyjaciół: powiadał wzorem Diogene-sa, że czyni tak dla ich dobra. Bezlitosny w bezpośredniej rozmowie, obnażający cudze słabości, rzucający w oczy wszelkie przygany, wokół osoby u któ-

rej dostrzegał „iskrę bożą”, potrafił jednak budować poza jej plecami przychylną atmosferę otoczenia. Wielu z tego skorzystało. Irytowała go najpospolitsza z ludzkich przywar - głupota. Wybaczał wiele - głupoty nigdy. Głupiec, to w jego ustach zarzut najcięższy, nieodwracalny. A że głupoty wokół miara nieprzebrana, on zaś stronił od kompromisów i nie zwykł kogokolwiek oszczędzać, tedy na brak osób sobie nie-przychylnych narzekać nie musiał. Traktował je z wyniosłą, wręcz ostentacyjną obojętnością, wydawało się czasami - pogardliwie. Tych, których uznał za prawdziwych wrogów nigdy nie oszczędzał. Dla wrogów stawał się autentycznie niebezpieczny.

Pod koniec lat osiemdziesiątych znów zbliżył się do siebie. Towarzysko, bo przecież intelektualna więź nigdy zerwana nie została. Znowu biesiadowaliśmy przy wodzie rozmownej, i znowu gościła wokół tamta niepowtarzalna atmosfera mądrej dysputy, zwiewnych dykteryjek, rubasznych dowcipów. Już nie tak wprawdzie, jak dawniej, ożywcza - jego trapiły nowe problemy, we mnie dopalała się młodzieńcza brawura - z większym dystansem do świata i siebie. Uważałem go zawsze za wybitnego par excellence poetę: miał chyba trochę żalu, że nie doceniałem na równi prozatorskiego bądź dramatopisarskiego dorobku. I nie wiem, czy zachwyty nad jego wierszami były w tym względzie dlań ekwiwalentne. Ale przecież sam tego uczył nas latami, iżby słowa i myśli szły razem, trzymały się za ręce. I sam wedle tej zasady postępował.

BOGDAN J. KUNICKI
(1946-2017)

Zdzisław Morawski

Urodził się 6 września 1926 r. w Białych Błotach na Kujawach w rodzinie robotniczej. Większość lat niemieckiej okupacji spędził na robotach przymusowych w Rzeszy, po wyzwoleniu zaś podejmował pracę w różnych zawodach. Zadebiutował jako poeta w 1957 r. na łamach czasopisma „Nowe Sygnały”, w 1959 r. wydał pierwszy autorski tomik poetycki „Pejzaż myśli”. Od 1961 r. członek Związku Literatów Polskich, w którym pełnił wiele funkcji, m.in. przewodniczącego Komisji Rewizyjnej Zarządu Głównego ZLP (1977-79), a później członka tej komisji (1979-83), prezesa lubuskiego oddziału ZLP (1981-83). Uprawiał różnorodne formy literackie: był poetą, ale również prozaikiem, eseistą, tłumaczem i publicystą. Na jego dorobek artystyczny składa się kilkanaście tomików poetyckich (m. in. „Obecność”, „Strofy o dzierzawie”. „Słowa w drewnie i w kamieniu”, „Pieśń moich rzeczy”), dwie powieści, dwadzieścia dramatów (utworów scenicznych i słuchowisk radiowych), setki artykułów publicystycznych. Jego utwory tłumaczone były na język rosyjski, niemiecki, serbski i gruziński. Prowadził niezmiennie ożywioną działalność społeczno-kulturalną na Ziemi Lubuskiej: był m.in. współorganizatorem i sekretarzem Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze, założycielem i prezesem Gorzowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, współtwórcą regionalnych czasopism społeczno-kulturalnych „Nadodrza” i „Ziemia Gorzowska”. W ostatnich latach życia był współzałożycielem i pierwszym prezesem Polsko - Niemieckiego Stowarzyszenia Literackiego (Deutsch-Polnisches Literaturburo) oraz redaktorem naczelnym dwujęzycznego periodyku „Prom” (Die Fahre). Wyróżniony wszystkimi najwyższymi regionalnymi nagrodami kulturalnymi: Nagrodą Miasta Gorzowa (1968), Lubuską Nagrodą Kulturalną (1970), Nagrodą GTSK (1974), Nagrodą Gorzowską (1980), Nagrodą „Nadodrza” (1982). Zmarł w Gorzowie 28 października 1992 r.

Była Chata za Wsią, ale nad jeziorem

Długie było zawsze - choć tak po prawdzie kąpielisko ma ledwie 60 lat.

Gdyby nie to, że pewnego dnia dwóch lokalnych promientów zapragnęło posiedzieć w szuwarach, to być może plaża w Długim nie byłaby dziś największym kąpieliskiem lubuskiego. Lokalny kurort oczekiwał się nawet swojej powieści.

Większość, jeśli nie wszyscy gorzowianie, wiedzą, co to jest Długie, co to jest Lipie. Mało tego, niemal każdy ma jakieś własne wspomnienie z tego kąpieliska, ale tak naprawdę, to mało kto wie, jak to się stało, że mała wioseczka przy ruchliwej trasie została najbardziej popularnym kąpieliskiem.

Jeszcze na początku 1960 roku plaża nad jeziorem Lipie w Długim w niczym nie przypominała dzisiejszego półtora hektara ślicznego piasku, wygodnych alejek spacerowych oraz całego kąpieliskowego sznytu, jakie Długie ma dziś. Była to zwykła plaża, jakich wiele można spotkać nad lubuskimi jeziorami, porośnięta tu i ówdzie brzoza - z których dwie się zachowały, szuwarami i innymi chaberdziami.

I pewno byłoby tak do dziś, gdyby dnia pewnego do Długiego nie przyjechało dwóch ważnych i prominentnych działaczy ze Strzelca Krajeńskiego, a więc Długie administracyjnie tam podlegała. Dlaczego akurat oni i dlaczego tam - dziś już tego nikt nie będzie w stanie ustalić. Otóż w szuwarach nad-



Długie, a właściwie jezioro Lipie znają chyba wszyscy gorzowianie

brzeżnych usiedli sobie Kazimierz Anioł - ówczesny I sekretarz Komitetu Powiatowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oraz Zenon Śmigiel - ówczesny przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej. Od słowa do słowa uradzili, że będzie tu plaża. Po prostu plaża dostępna dla wszystkich. I tak się zaczęła gdzieś w 1960 roku historia dzisiejszego kąpieliska.

Jak już była plaża, to zaczęła się pojawiać - jak byśmy dziś powiedzieli - infrastruktura. Ponieważ okazało się, że jezioro jest fantastycznie czyste, ma w miarę dobre warunki do żeglowania, natychmiast zaczęły się pojawiać kampingi, ze względu na wielkość oraz

urodę wdzięcznie zwane Psimi Budkami, w tamtych czasach szczyt marzeń o spędzeniu dwóch tygodni urlopu. Jak już były Psie Budki, byli ludzie, to musiała się pojawiać jakaś knajpka i się naturalnie pojawiała - także miała bardzo niebanalną nazwę, bo Chata za Wsią. Nazwa jak najbardziej zasada - bo nad jeziorem, daleko do wsi Długie, taka chata, w której skupiało się całe kąpieliskowe życie już po plażowaniu. Jak knajpka, to potem musiał być kiosk Ruchu, w którym można było kupić wszystko.

A skoro i domki, i ludzie, i knajpka, i kiosk, to naturalnie musieli się pojawić handlarze pamiątkami wszelakimi, w tym takimi uniwersalnymi,

jak jojo na gumce, ciupaga czy inne straszne straszdyła, maksymalnie wówczas pożądane przez dzieciaki.

Atrakcyjność miejsca rosła. Pojawiało się coraz więcej kampingów, pojawiały się kolejne knajpki, kąpielisko zyskiwało pomosty, miejsca wydzielone dla najmłodszych, stanął w końcu Słoń - blaszana i ukochana przez najmłodszych zjeżdżalnia do wody. Jak kąpielisko, to ratownicy, jak dobre wiatry, to szkółki żeglarskie, jak żeglarskie, to harcerze z gorzowskiego Hufca Związku Harcerstwa Polskiego ze swoją stałą bazą. Długie ściągało coraz więcej turystów, i to nie tylko z okolicy, ale z Górnego Śląska, z aglomeracji Katowice i zresztą do dziś

tak jest, że Ślązacy do Długiego zjeżdżają. Długie kwitło, było coraz bardziej popularne, w dobrym tonie było tu spędzać przynajmniej część wakacji. Nawet PKS z Gorzowa tu dojeżdżał. Działo się i to bardzo dużo.

Aż przyszedł sierpień 1993 roku. Wtedy pierwszy raz odbył się tu festiwal szantowy, od następnej edycji zwany Keją. Od pierwszego wydania związany z imprezą był Marek Szurawski - lider zespołu szantowego Stare Dzwony. Przez lata przez imprezę w całości organizowaną przez Urząd Miasta w Strzelcach Krajeńskich wspomaganą przez gorzowskich harcerzy, a dokładnie przez Marka Bidolę i śp. harcmistrza Sylwestra Kuczyńskiego przebiegała się cała czołówka polskiej sceny szantowej i to śpiewającej tradycyjne szanty morskie, jak i szanty szuwarowo-bagienne, czyli piosenki żeglarskie nawiązujące do tradycji żeglowania po jeziorach. Jednak z czasem i ta impreza zaczęła tracić na popularności. Inne priorytety stały się ważniejsze. Festiwal umarł w 2011 roku i jak do tej pory nie było mowy o reaktywacji. Ale dobra pamięć świetnej imprezy pozostała i wielu gorzowian z łezką w oku wspomina, jak to siedziało pod pewną brzoza, a na scenie występował Kochanek Sally Brown czy też same szacowne Stare Dzwony.

Obecnie Długie to duży kompleks wypoczynkowy, z dużą bazą żeglarską, zapleczem hotelowym, w sezonie ze stałą bazą ratowników, którymi od lat są członkowie Klubu Pletwonurków Marlin Plus. Poza tym mieści się tam ośrodek gorzowskiego Towarzystwa Brata Krystyna z bardzo dobrym zapleczem noclegowym. Ale Długie, a właściwie jezioro Lipie to początek tzw. Lubuskich Mazur ze szlakiem wiodącym aż do Dobiegniewa. - Mało tego, my mamy bardzo ambitne plany, aby wytyczyć szlak z Długiego do Gorzowa i na pewno pewnego pięknego letniego dnia zacumujemy przy Bulwarze - zapowiada Mateusz Feder, burmistrz Strzelca.

Kąpielisko się rozwija, pojawiają się nowe inwestycje. - Przecież to nasza perełka, mamy skarb, którym się chwylimy, ale który wymaga pracy - podkreśla Mateusz Feder.

No i ostatnio okazało się, że Długie ma własną książkę - w papierach po Zdzisławie Morawskim dr Krystyna Kamińska odkryła rękopis powieści „Każdy miał wakacje”, która właśnie ujrzała światło dzienne.

RENATA OCHWAT

Opowieści o tym, jak powstało kąpielisko, przysłuchiwałam się na spotkaniu promocyjnym książki Zdzisława Morawskiego, które odbyło się w WiMBP w lutym 2019 r.

Nieznana powieść Zdzisława Morawskiego

W ubiegłym roku gorzowska biblioteka przyjęła przekazane przez Marię Morawską archiwum Zdzisława Morawskiego.

Zdzisław Morawski zmarł w 1992 roku. Był cenionym poetą, za życia wydał 11 tomów wierszy, a później ukazały się jeszcze cztery, w tym wydanie zbiorowe. Pisał także prozę. Znały go dwie powieści, opowiadania ukazywały się na łamach pisma „Nadodrże”, sześć jego sztuk wystawiły polskie teatry, a radio w Zielonej Górze nadało pięć słuchowisk. O ile do książek można dotrzeć, to przeczytanie opowiadań jest trudne, a przedstawienia teatralne i słuchowiska uleciały już dawno.

Archiwum jest bardzo obszerne, składa się z ok. 50 teczek z maszynopisami przede wszystkim utworów prozatorskich, a także 31 dużych skoroszytów, w których ręcznie robił „Zapiski codzienne” od 1972 do 1985

roku. Prace nad tymi materiałami trwają.

Właśnie w tym zbiorze maszynopisów odnalazłam powieść pt. „Każdy miał wakacje”, która 21 lutego zaprezentowana została czytelnikom.

W latach 60. minionego wieku państwo Maria i Zdzisław Morawscy chętnie spędzali lato na Długim. Utała się taka nazwa tego miejsca między Strzelcami Krajeńskimi a Dobiegniewem, choć poprawnie należałoby mówić nad jeziorem Lipie albo we wsi Długie. Zdzisław był zapalonym żeglarzem, a tam warunki do żeglowania są wspaniałe. Był nawet instruktorem na kursie dla młodych sterników jachtowych. Ośrodek wypoczynkowy dopiero wtedy się rodził, jeszcze nie było tak wielkiej piaszczystej plaży, a



opalanano się na trawie, ale już były pomosty i żagle, stanęły domki campingowe podobne do psich budek istniała restauracja „Chata za wsią”. Właśnie w tym ośrodku Zdzisław Morawski osadził akcję swojej powieści pod tytułem „Każdy miał wakacje”. Na końcu postawił datę: 1965 rok.

Po blisko 50 latach nie ma już „Chaty za wsią”, miejsca

posiłków i dancinów. Nikt już nie ubiera garnituru i krakowa, by przywitać oczekiwaną kobietę, nie mówimy do sąsiadów z letniska przez „pan” i „pani”. Nie ma takich jak wtedy rygorystycznych szkoleń dla młodych żeglarzy. Ale na zawsze pozostały urok jeziora Lipie z jego licznymi zatokami i wspaniałą przestrzenią do żeglowania. Pozostało żeglarstwo jako męska przygoda, pozostał urok cudownego wtopienia się w świat przyrody, jakie dają wiatr, słońce i woda. Na pewno pozostały także - podobne do tych z powieści - letnie zauroczenia, a nawet miłości, choć nie zawsze ze szczęśliwym zakończeniem.

Tę letnią tematykę książki uzupełniają wspomnienia Marii Morawskiej o żeglarskiej przygodzie męża, a także zrobione wtedy zdjęcia

żagli, ludzi i przyrody. Są wiersze Zdzisława Morawskiego inspirowane jeziorem, a nawet wiersz Marka Piechockiego o tamtej jego żeglarskiej przygodzie z dzieciństwa.

Napisana przed półwiekiem powieść z jednej strony jest już historyczna, a z drugiej opowiada o wiecznej tęsknocie człowieka do słońca, wody i miłości.

Powieść Zdzisława Morawskiego ukazała się, dzięki finansowemu wsparciu Urzędu Miejskiego w Strzelcach Krajeńskich, w wydaniu Długie znajduje się na terenie tej gminy. Wydanie książki jest też formą spłaty długu, bo Maria Morawska właśnie pracownikowi tego Urzędu, Markowi Bidolowi przekazała swoje fotograficzne archiwum związane z żeglarstwem i z ośrodkiem

nad jeziorem Lipie. Dużo na nich żagli, wypoczynku i radości. Widoki jeziora z tamtych lat utrwalił ceniony fotograf Konstanty Ludwikowski, autor pierwszej pocztówki z Długiego z 1966 r. Wszystkie te dokumenty ikonograficzne weszły także do książki.

Prawo do wydania powieści życzliwie przekazała Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zb. Herberta, a Związek Literatów Polskich dołożył pracę edytorską.

■■■

Zdzisław Morawski, „Każdy miał wakacje”, Gorzów Wielkopolski - Strzelce Krajeńskie 2018, wyd. UM w Strzelcach Krajeńskich, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., Związek Literatów Polskich - Oddział w Gorzowie Wlkp., 198 s.

KRYSZYNA KAMIŃSKA

Świąteczny czas, czyli od palmy do wielkanocnego dyngusa

Wielkanoc - palma, święcone w koszyczku, Rezurekcja, wspólne śniadanie. Ale i czas na spacer, odpoczynek i rodzinne posiadanie.

Współcześnie święta Wielkiej Nocy dość daleko odeszły od wymiaru religijnego, choć nadal można w Polsce poobserwować tradycyjne obchody. Inaczej świętuje się Wielkanoc na Mazowszu, w Małopolsce, na Podlasiu i Podhalu. Tam właśnie zarówno Wielkanoc, jak i Wielki Tydzień kultywowane są jeszcze w starym, ludowym stylu. Prawda, że głównie na wsiach, ale jednak. Natomiast w miastach Wielkanoc często bywa traktowana głównie jako kolejny nieco dłuższy wolny weekend, oczywiście ze świątecznymi akcentami.

Od palmy się zaczyna. O tym, że Wielkanoc już u progu świadczy Niedziela Palmowa, obchodzona przez chrześcijański świat na pamiątkę zapowiedzi męczeńskiej śmierci Chrystusa. Jak chce tradycja, kiedy Jezus wjeżdżał na osiołku do Jerozolimy, wówczas ludzie rzucali pod kopyta bydła liście palmy i stąd się wzięła symbolika tej rośliny, której resztki w Azji nie brakuje. Katołicy tego dnia idą do kościołów z palmkami. Tak samo inni wierni wyznania chrześcijańskiego, z tym, że dla nich święta wypadają z reguły inaczej niż katolickie, bo tak wynika z kalendarza juliańskiego.

Tradycyjne palemki to gałązki wierzy przystrojone kwiatkami i wstążkami. Dziś najczęściej to palemki kupowane w kramach lub w salonach Cepelii. Także do dziś w Małopolsce i na Kurpiach

przetrwiał zwyczaj przebierania się i zbierania datków - jajek głównie. Ucheroki, bo tak kwestorów się nazywa, mają wysokie słomiane czapy i wcale nie proszą o datki, a wręcz się domagają. I potrafią grozić, ot choćby i tak: *Jak mi nic nie dacie, to mnie rozgniewacie i wam garnki powybijam, co na płocie macie.* Także w Małopolsce przetrwiał obyczaj obwożenia figurki Chrystusa zwanego Jezuskiem Palmowym po kościele lub wokół niego. A w stołecznym mieście Krakowie figurkę wozi się od kościoła do kościoła. To także zwyczaj nawiązujący do uroczystego wjazdu Chrystusa do Jerozolimy.

Wielki Poniedziałek i Wielki Wtorek. Te dni nie wyróżniały się i nadal nie wyróżniają specjalnymi obrzędami, co widoczne jest nawet w uroczystościach kościelnych. Zaduma, zamyślenie i refleksja to charakterystyczne stany emocjonalne w czasie tych dni.

Wielka Środa. Dzień ten znany, jako dzień zdrady Judasza, który wydał Jezusa faryzeuszom za 30 srebrników nie ma specjalnych obrzędów kościelnych, ale za to ma bogate zwyczaje. Dawniej w ten dzień w kościele po normalnym obrzędzie liturgicznym młodzieńcy robili w świątyni duży hałas i przygotowywali kukłę, która miała symbolizować Judasza zdradcę. Wyczyn ten miał lekko drastyczne zabarwienie, gdyż tak przygo-



Czas świąteczny, zgodnie z wielowiekową tradycją, od palmy się zaczyna...

towana podobizna Judasza była wynoszona na wieżę kościelną i z niej zrzucana. Na dole szarpano ją kijami i na końcu palono. Na szczęście dzisiaj nie ma już takich obrzędów.

Tradycje Triduum. Dla wielu święta Wielkiej Nocy w rzeczywistości otwiera Triduum Paschalne, trzy najważniejsze dni przed Niedzielą Zmartwychwstania, najważniejszym świętem chrześcijańskiego świata. Wierni modlą się wówczas za kapłanów, celebrują Mszę Męki Pańskiej, zaczynają się cieszyć w Liturgii Światła. Triduum zaczyna się w Wielki Czwartek.

Także podczas Triduum odbywa się - głównie w okolicach Sanoka - obyczaj palenia Judasza. Przygotowuje się wielką kukłę, na szyi wieszona tablicą z napisem - *Ja Judasz zdradca*, i potem obrzędowo wieszona go lub pali.

Także w trakcie Triduum odbywają się w kilku miejscach w Polsce, coraz więcej ich jest, misteria Męki Pańskiej, widowiska pasyjne gromadzące rzesze wiernych. Najbliżej Gorzowa takie misterium odbywa się w Poznaniu.

Turki u grobu. W tradycji polskiej jest także i to, że u Grobu Pańskiego honorową wartę zaciągają strażacy. Można ich zobaczyć przy Grobach w miastach i miasteczkach naszego województwa. Ma to związek z tym, iż grobu Chrystusa w Ziemi Świętej pilnowali rzymscy żołnierze. Czasami przy Grobie Pańskim można zobaczyć także harcerzy z katolickich odłamów, którzy także trzymają straż honorową. Ale na Rzeszowszczyźnie Grobu Pańskiego pilnują tzw. turki, czyli mężczyźni popisujący się fantastyczną musztrą po zakończeniu czuwania. Zwy-

czaj nawiązuje do żołnierzy króla Jana III Sobieskiego, którzy po wygranej bitwie pod Wiedniem zaciągnęli wartę honorową przy Pańskim Grobie ubrani w barwne szaty zdobyte na Wielkiej Porcie.

Na szczęście w Polsce zaniknął obyczaj biczowników pielgrzymujących do Grobu Pańskiego, kultywowany jeszcze w Ameryce Łacińskiej i Hiszpanii.

No i Wielkanoc. Jeszcze miejscami można spotkać się z obyczajem ścigania się po mszy rezurekcyjnej w niedzielę rano. Kto pierwszy, bowiem dotrze do domu, temu będzie się w danym roku darzyło. Najważniejszą częścią tego dnia jest obfite śniadanie, pierwszy w tradycji syty posiłek po Wielkim Poście. Głównie jada się jajka, dobrą wędlinę, ciasto - tradycja nakazuje, aby był to drożdżowiec, ale może być i inne. Zwyczajowo śniadanie świąteczne zaczyna się święconym.

Jeszcze do dziś w tradycyjnych regionach Polski oraz w niektórych domach naszego regionu Wielkanoc nazywa się dniem bez dymu, bo zwyczaj zakazywał rozpalania dużego ognia. Dlatego też z reguły w wielkanocną niedzielę nie podawano obiadu. Musiał wystarczyć wielkanocny śniadaniowy stół, na którym powinno być tyle jedzenia, aby wystarczyło na cały dzień.

A potem dyngus. To najbardziej oczekiwana chwila przez najmłodszych. Śmigus Dyngus nawiązuje do rzym-

skich tradycji polewania się pachnidłami. W polskim wiejskim obyczaju wręcz obrażą było, jeśli nikt nie polał danej osoby. W Wielkopolsce dla przykładu kawalerka za punkt honoru stawiała sobie wykąpanie w końskich wodopojach co ładniejsze panny.

Ale zmienił się czas i obyczaje. Dziś na ulicach królują, niestety, chuligani z wiadrami i przed nimi chronić się trzeba.

Świąteczne wojaże. Jednak, jak pokazują dane biur podróży, Polacy coraz częściej właśnie na Wielkanoc wybierają się poza dom. - Mamy coraz więcej chętnych na wyjazdy, z reguły to tygodniowe wycieczki pobytowe w ciepłych, ale niedalekich krajach, jak Grecja, Włochy, Hiszpania czy Wyspy Kanaryjskie. Od pewnego czasu popularna na powrót staje się Bułgaria - mówią pracownicy różnych biur podróży. A sami zainteresowani takim spędzaniem czasu tłumaczą, że dla nich sakralny wymiar świąt nie ma znaczenia, a wolne dni lepiej spędzić na Krecie czy Santorini niż przy zastawionym stole.

RENATA OCHWAT

Korzystałam z książek: książka Jędrzej Kitowicz „Opis obyczaju za Augusta III”, Barbara Ogródowska „Zwyczaj, obrzędy i tradycje w Polsce”, Joanna Łagoda, Maja Łagoda-Marciniak, Anna Gotowiec „Święta w polskim domu”.

Pisanki wykonane tradycyjnymi technikami

Trwa 47. Ogólnopolski Konkurs Pisanek im. Michała Kowalskiego.

Związek Ukraińców w Polsce - zarząd koła w Gorzowie, Zjednoczenie Łemków - zarząd koła w Gorzowie oraz Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta ogłaszają 47. Ogólnopolski Konkurs Pisanek im. Michała Kowalskiego. Pisanki wykonane tradycyjnymi technikami oraz motywami przyjmowane są do dnia 6 kwietnia 2019 roku.

Pisanki, co najmniej 5 sztuk, wyduszkki lub ugotowane „na twardo”, należy

dobrze zabezpieczyć przed uszkodzeniem. Najlepiej pakować je w specjalne tekturowe pojemniki, których używa się w handlu i transporcie, następnie do tekturowych (a nie blaszanych czy plastikowych) pudełek. Do środka prosimy włożyć kartkę z imieniem i nazwiskiem autora, wiekiem autora, określeniem, skąd pochodzą motywy wykonanych zdobieć. Dobrze zabezpieczoną paczkę należy ponadto opatrzyć napisem:



Konkursowe pisanki wykonane tradycyjnymi technikami

„ostrożnie szkło” i wysłać na adres:

Spichlerz - filia Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta, ul. Fabryczna 1-3, 66-400 Gorzów Wielkopolski z dopiskiem „konkurs pisanek”.

Pisanki inspirowane sztuką współczesną nie będą brane pod uwagę. Nadesłane prace stają się własnością organizatorów i nie będą odsyłane nadawcom. Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone w mediach oraz na stronie www.muzeumlubuskie.pl.

Wyróżnione zestawy pisanek będą zaprezentowane na wystawie w Muzeum Lubuskim im. Jana Dekerta, której uroczyste otwarcie nastąpi 14 kwietnia 2019 roku w Spichlerzu - filii Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta przy ul. Fabrycznej 1-3.

Regulamin konkursu jest do wglądu na stronie internetowej www.muzeumlubuskie.pl. Wydarzenie dofinansowane z budżetu Miasta Gorzowa Wielkopolskiego.

Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta

Czesi kołędują, Słowacy porozumiewają się jajkami

Wielkanoc to nadal stół i rodzinne spotkania, ale coraz częściej wybieramy się na ten czas gdzieś poza dom, nawet za granicę.

Nie tylko u nas dawne świąteczne obyczaje zadziwiają po dziś dzień. Dziwaczne w dzisiejszym mniemaniu obrzędy miały miejsce także u naszych sąsiadów. Warto wiedzieć, jak wyglądały i jakie miały znaczenie.

Na Słowacji

Ciekawym zwyczajem, który był bliski w szczególności żółtkom Słowaków, było wkładanie do koszyka wielkanocnego, który ma być poświęcony, słodkich ciast. Ciasta te, nazywane calta musiały znajdować się w każdej święconce. Ale nie było tylko słodko. Kojarząca się nam głównie z zimową porą i Św. Mikołajem różga, kiedyś na Słowacji właśnie w okresie świąt Wielkanocnych nabierała szczególnego znaczenia.

W Wielką Niedzielę nikogo nie dziwiły dzieci ganiające i okładające się nawzajem różgami. Ponoć miało to chronić przed złymi siłami. Niespodzianką jest też lany poniedziałek, w który w dobrym tonie było oblewać młode dziewczęta tylko w godzinach porannych. Nawet, jeśli miałyby być zmoczone jeszcze w łóżku.

Same pisanki, które są symboliczne w każdej tradycji nie były zdobione, jak u nas wzorczyście i tylko w celu zdobienia.

Nanoszone na nich wzory miały swoje znaczenie i miały pełnić formę przekazu życzeń do spełnienia. Na wsiach, jaja kładziono na grobach bliskich, smarowano nimi zwierzęta domowe i kładziono je na polach uprawnych. Wszystkie te zabiegi miały na celu zapewnienie dobrobytu i spokoju.

U Czechów

Czesi nie obchodzili Niedzieli Palmowej, która poprzedzała Wielki Tydzień. Dla nich była to zawsze Kwiatowa Niedziela, kiedy to zamiast przygotowywania palm, wierni podążali do świątyni z gałązkami bazi w dłoniach. Niektórzy z nich nawet połykali świeże kotki baziek, co miało im zapewnić pełne zdrowie.

Ale to nie koniec różnic w nazewnictwie. Nasz Wielki Tydzień u Czechów określany był jako kolorowy, ponieważ tylko poza Wielkim Piątkiem, każdy inny dzień miał barwne określenie, jak Żółty Wtorek, Zielony Czwartek czy Czarna Środa. W te ostatnie dobrze było cały dzień bawić w dobrym nastroju, gdyż to wróżyło powodzenie przez cały rok. Natomiast mycie przed wschodem słońca w Wielki Piątek, w potoku było nijakim gwarantem zdrowia. Co nas Polaków może dziwić, w czeskiej tradycji kołędowanie odbywa się właśnie w czasie Wielkanocy.

W Niemczech

Niemcy, co dziwne dla nas Polaków, nie znają śmigusa-dyngusa. Ale ich obchody także się różnią od naszych.

Nasi zachodni sąsiedzi w Wielki Czwartek muszą zjeść coś zielonego. Może to być sałata, szpiorek, szpinak. Tego dnia maluje się także jajka na zielono. Wielki Piątek zwany też Cichym Piątkiem (Stiller Freitag) jest dniem wolnym od pracy. Trzeba się liczyć z tym, że sklepy będą zamknięte, nawet niektóre restauracje też. Wierni, zwłaszcza w kato-



Fot. Stanisław Miklaszewski
W Niemczech największą rozrywką dla najmłodszych jest poszukiwanie prezentu pozostawionego przez zajączka

lickim landzie Bawaria, uczestniczą w misteriach upamiętniających śmierć Jezusa Chrystusa. Inaczej niż w polskiej tradycji tego dnia w Niemczech nie obowiązuje post ścisły. Wieczorem kapłani zapraszają na agapę, czyli wspólny posiłek składający się z wody, chleba oraz wina. Kolejną różnicą jest kwestia święcenia pokarmu, nie jest to tak popularne jak w Polsce. W Niemczech święci się ognie. W Wielką Sobotę przed kościołami płoną ogniska na znak zbliżającego się zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Wierni odpalają świece paschalne i zabierają je do swoich domów. Następny świąteczny dzień, czyli Niedziela Wielkanocna, to tradycyjne poranne msze rezurekcyjne oraz rodzinne śniadanie. Największą rozrywką dla najmłodszych jest poszukiwanie prezentu pozostawionego przez zajączka. Natomiast Poniedziałek Wielkanocny jest czasem spotkań z rodziną i bliskimi.

Wielkanocne dekoracje są w Niemczech bardzo ważne. Popularne są bukiety z zielo-

nych gałązek i powieszonych na nich wydmuszkach. Dekoruje się balkony, okna, ogrody.

Nie mniej ważne jest jedzenie. Na świątecznych stołach dominują tradycyjne potrawy. Są wśród nich jajka podawane na różne sposoby - z sosami lub faszerowane kawiozem. Kolejną, wielkanocną potrawą, a także dekoracją, jest ser biały, który formuje się na kształt jajek. W okresie wielkanocnym w niemieckich domach pojawiają się także zupy: dyniowa i kmin-kowa oraz mięsa: boczek, pieczona szynka, kielbasa. Potrawą wielkanocną jest również zrobiony z surowego mięsa wieprzowego, papryki, cebuli i natki pietruszki hackepeter, który wygląda jak tatar. Oczywiście są także słodkości: tradycyjne owocowe strudle, babki drożdżowe z rodzynkami, serniki i, co może dziwić, knedle oraz musli owocowe. Na wielkanocnych stołach pojawia się pieczywo, w tym chleb orzechowy.

We Włoszech

W nocy z Wielkiej Soboty na Wielką Niedzielę Włosi obchodzą „veglia pasquale” ?

czuwanie paschalne, które jest w pewnym stopniu odpowiednikiem polskiej „rezurekcji”. Wielka niedziela rozpoczyna się obfitym śniadaniem, w którego skład wchodzi wędliny i jajka. Głównym posiłkiem dnia, wręcz symbolicznym momentem dla włoskich rodzin, jest wielkanocny obiad. Na włoskich stołach przeważają potrawy z baraniny, cielęciny czy koziego mięsa podawane z młodymi ziemniakami i smażonymi karczochami.

Deserem jest włoska Colomba, czyli gołębia. To puszysta babka, nadziewana migdałami, kawałkami czekolady, bądź posypana cukrem pudrem, kształtem przypominająca gołębia w locie.

Dzieci z niecierpliwością oczekują na wielkie czekoladowe jaja z niespodziankami, zawierającymi wszelkiego rodzaju maskotki, ludziki i inne drobiazgi. W okolicach Neapolu, podstawę niedzielnego obiadu stanowi tzw. „ministra di Pasqua”, czyli zupa z dodatkiem białego wina i kilku rodzajów kielbas. Z tych okolic pochodzi również pyszne ciasto pastiera napoletana.

Natomiast w Ligurii czy Lombardii podaje się specyficzne torty. Ich specyfika polega na tym, że są to dania z kurczaka, szynki i kilku typów sera, a nazwę swoją zawdzięczają tylko formie, łudząco podobnej do słodkiego tortu. W Pugli natomiast, z okazji Wielkanocy, piecze się tzw. le scardelle, ciasto wyglądem przypominające ciasto z owocami, jednak zamiast owoców kładzie się na nie gotowane na twardo jajka w skorupkach i całość zapieka.

Włosi mają także odmienne zwyczaje świąteczne. We Florencji, świąteczną atrakcją jest sięgająca jeszcze czasów wypraw krzyżowych tradycja, mająca swoje korzenie w legendzie o odważnym Pazzino. To charakterystyczny rydwan napełniony strzelającymi fajerwerkami, ciągnięty przez białe woły. W Prizzi na Sycylii młodzi nakładają charakterystyczne czerwone maski przypominające diabła i krążą wraz ze śmiercią po okolicy, szukając zbłąkanych dusz. Kto zostaje złapany przez śmierć, zostaje zaprowadzony do piekła, czyli do baru, gdzie musi odpokutować, oferując wszystkim coś do picia. Diabły kończą swoje swawole po mieście około południa, kiedy to pojawia się figura Madonny, wychodzącej z głównego kościoła, idącej na spotkanie z Chrystusem. Diabły zostają wówczas złapane przez przebraną za anioły młodzież, po czym zostają zaprowadzone przed oblicze Madonny, gdzie składają jej pokłon. Zakończeniem obrzędu jest symboliczne ściągnięcie przez młodych, masek diabłów.

Włoskie powiedzenie mówi: Boże Narodzenie z rodziną, a Wielkanoc z kim chcesz. Stąd też bardzo popularnym sposobem spędzania świąt wielkanocnych są wakacje. Coraz większą popularnością cieszą się wyjazdy kilkudniowe, jak i tygodniowe. Włosi najczęściej wybierają Toskanię, okolice Jeziora Garda, Umbrię czy też bardziej odległe miejsca jak Malediwy bądź Egipt.

OPRAC. ROCH

Korzystałam z różnych źródeł dostępnych w Internecie

reklama

HELIOS

Kino Konesera

Zapraszamy na najbliższe seanse z cyklu Kino Konesera:

01.04 Free Solo: ekstremalna wspinaczka
03.04 Przemytnik
15.04 Złodziejaski

17.04 Ułaskawienie
22.04 Green Book
24.04 Wszyscy wiedzą
29.04 Kafarnaum

Helios Gorzów Wielkopolski, al. Konstytucji 3 Maja 102
rezerwacja: 95 737 27 37

www.helios.pl

A we wrześniu grozi nam edukacyjny armagedon

Z Barbarą Zajbert, prezes oddziału gorzowskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego, rozmawia Renata Ochwat

- Widomo strajku edukacyjnego przed nami. Pani zdaniem w kwietniu staną też gorzowskie szkoły?

- Oczywiście, że tak. Nasze środowisko jest bardzo zdezorientowane. Na 87 placówek z naszego terenu w ponad 76 jest wdrożona procedura rozwiązywania sporów zbiorowych. Oznacza to, że wypełniamy wszystkie etapy przygotowania do strajku. Ale jak będzie, to na pewno pokaże referendum. Każdy pracownik będzie się mógł wypowiedzieć w tej kwestii. Określić, czy przystępuje do strajku, czy też nie przystępuje.

- Jak to w praktyce może wyglądać?

- Strajk, jak wszyscy pamiętamy jeszcze sprzed stanu wojennego, jest to powstrzymanie się od wykonywania pracy. Wszyscy, którzy przystąpią do takiego protestu, będą na stanowiskach pracy, niemniej jednak pracy tej nie będą wykonywać, czyli nie będą prowadzić zajęć, nie będą sprawować żadnych funkcji opiekuńczych czyli nie będą organizować żadnych zajęć zastępczych. Nie wykonują pracy. I nie pobierają za ten okres, oczywiście, wynagrodzenia.

- Pani prezes, strajk to kwestia ogólnopolska, a ja chciałabym wrócić na gorzowskie podwórko. Jak pani ocenia system edukacji w mieście, mam na myśli obecne funkcjonowanie siatki szkół?

- Ciężko jest wystawić taką jednoznaczną ocenę, ponieważ cały czas mam w głowie to, co ma być zrobione, to, co jeszcze nie zostało zrobione, a myślimy tutaj o Centrum Edukacji Zawodowej, w którym nawet jeszcze jedna łopata została wbita, żeby to przygotować, a szkoda. Bo być może byłoby to znakomite miejsce do kształcenia zawodowego, a na takie chcemy stawiać. Sieć przedszkoli jest duża i moim zdaniem przedszkola funkcjonują dobrze. Choć zaznaczyć trzeba, że mamy problem z pomieszczeniem dzieci trzyletnich. I naszym zdaniem przydałoby się przedszkole na osiedlu Europejskim. Bo tam zwyczajnie brakuje przedszkola. Patrząc na



Fot. Renata Ochwat

B. Zajbert: Bardzo współczuję wszystkim uczniom, także ich rodzicom, a najbardziej nauczycielom

szkoły podstawowe, zwłaszcza na SP 20, którą należałoby rozbudować, albo powinna tam powstać kolejna szkoła. A to jest już moloch. Żle się pracuje w tak potężnej szkole. Dlatego pewne ruchy muszą być wykonane, aby dostosować sieć szkół do faktycznych potrzeb mieszkańców. Natomiast wykonywanie takich ruchów, jakie zostały wykonane w grudniu z perspektywą podjęcia ostatecznych uchwał później, chyba nie było rozwiązaniem do końca dobrym. Nie było to poprzedzone przygotowaniem środowiska, zapoznaniem tych wszystkich, którzy są zainteresowani funkcjonowaniem oświaty, czyli rodziców, uczniów, a popatrzone tak naprawdę chyba tylko na interes ekonomiczny miasta. A trzeba pamiętać, że oświata jest materią bardzo wrażliwą, która skupia na sobie uwagę społeczną i należałoby o tym pamiętać.

- Czy te decyzje, podjęte zimą tego roku, są już ostateczne?

- Po sesji Rady Miasta w styczniu tego roku mamy na razie dwie uchwały intencyjne - to jest przeniesienie III Liceum Ogólnokształcącego

do obiektu Szkoły Podstawowej nr 7 przy ul. Estkowskiego oraz przeniesienie Liceum Plastycznego do siedziby obecnego III LO. Na pewno Liceum Plastyczne potrzebuje zmiany warunków, bo jest to placówka, w której już się nie da pracować. Bo obiekt na potrzeby tej szkoły jest zwyczajnie za mały. Natomiast czy przeniesienie III LO do SP 7 jest dobrym pomysłem? Nie do końca się zgadzam z taką decyzją. Można było poszukać innych rozwiązań, a nie na siłę uszczęśliwiać SP 7 młodzieżą z III LO. Tym bardziej, że w moim przekonaniu, nie będzie to służyło poprawie sytuacji w tej szkole. Moim zdaniem, w tej szkole nabór może się zmniejszyć jeszcze bardziej drastycznie. Rodzice, którzy mają do wyboru inne szkoły, będą chcieli posłać swoje dzieci do grup równolatków, nie będą chcieli umieszczać swoich dzieci w szkole, w której uczy się młodzież praktycznie dorosła.

- Pani prezes, mówi się, że po tych zmianach, po kumulacji roczników, może wystąpić po raz pierwszy od czasów PRL taka sytuacja, że młodzi będą chodzi-

li do szkół nawet w soboty. Czyżby coś takiego groziło także gorzowskim dzieciom?

- Oby nie. Oby nie. Zobaczymy, jak sobie nasz samorząd poradzi z tą sytuacją. I tu mam ogromny żal do obecnej władzy, że scedowała wszystko w tej trudnej kwestii na samorządy. Tak naprawdę otrzępano rączki, uważając, że to właśnie samorządy mają sobie same poradzić z tym problemem. Za tym nie poszły żadne dodatkowe środki finansowe i rzeczywiście może być drastycznie niedobrze, bo nie mamy się gdzie pomieścić. Przecież jest to podwójna liczba dzieci i każdy może sobie z łatwością policzyć, ile tych uczniów będzie. Szkoły nie są z gumy, nowych pomieszczeń nie dobudujemy przez pół roku. Rzeczywiście, szkoły mają różne pomysły, aby jakoś tę młodzież pomieścić. Ja jednak bardzo współczuję wszystkim uczniom, także ich rodzicom, a najbardziej nauczycielom, którzy będą się musieli zmierzyć z pracą na dwie zmiany, na dwie i pół zmiany.

- To żart, prawda.

- Zdecydowanie nie, zdecydowanie prawda. Będzie ciężko, naprawdę będzie bardzo ciężko, nawet jeśli będziemy wykorzystywać pomieszczenia bibliotek, stołówek, specjalnie adaptowanych zapleczy innych gabinetów. A myślę, że chyba nie o takie coś nam chodziło, żeby tak zmienić oświatę, aby w XXI wieku edukować dzieci w warunkach niczym po II wojnie światowej.

- Czy w Gorzowie może zabraknąć miejsc w dobrych szkołach? A przecież mamy bardzo dobre kształcące w zawodach, jak i kilka dobrych ogólniów.

- To jest nieuniknione.

- To co z tymi ludźmi będzie?

- Będzie zdecydowanie trudniej dostać się do wymarzonej szkoły mimo tego, że szkoły te zwiększają liczbę oddziałów. Dajmy przykład - jak do liceum przyjmowano cztery klasy, to teraz będzie musiało być tych klas pięć lub sześć. Ale to i tak nie wystarczy. No i młodzież będzie miała do wyboru szkoły branżowe.

- Co to znaczy - szkoły branżowe?

- Dawne szkoły zawodowe, czyli na poziomie Zasadniczych Szkół Zawodowych. Ja mam nadzieję jednak, że ci wszyscy super zdolni dostaną się do swoich wymarzonych szkół. A szkoły zrobią wszystko, żeby tej bardzo zdolnej młodzieży i chcącej się uczyć nie skazywać na naukę w zawodówkach.

- Czy do pani dochodzą głosy od zaniepokojonych rodziców, że to jednak tak być nie powinno? Gorzowanie nie obawiają się, że ich dzieci dotknie właśnie to zamieszanie?

- Docierają, choć nie są to masowe głosy. Wydaje mi się, że rodzice obudzą się w momencie, kiedy rozpocznie się nabór oraz kiedy zabrzmi pierwszy dzwonek 1 września, gdy okaże się, że zamiast 25 uczniów w klasie mamy 32, a ja się uczyłam i pracowałam w klasach, w których było i 37 uczniów. Tyle tylko, że to były czasy, jak to teraz wszyscy powtarzają,

słusznie minione. A jak wiadać, nie wszystko z tych czasów słusznie minionych zostało zapomniane. Zupełnie niepotrzebnie musimy wrócić choćby do takich sytuacji.

- Jednym słowem, szykuje nam się armagedon na początku nowego roku szkolnego?

- Na pewno tak.

- Co na to wszystko nauczyciele?

- Nasi nauczyciele się martwią. Tym bardziej, że udźwignęli już bardzo dużo. Każdy kolejny minister wprowadza kolejne pomysły. Oświata zaczyna przypominać taki worek treningowy. Obecnie niszczymy to, co wypracowaliśmy przez 16 lat. Mamy różny stosunek do gimnazjów, ale jeśli po 16 latach ich funkcjonowania było to najmocniejsze ogniwo funkcjonowania oświaty - wiemy to z oceny międzynarodowych organizacji badających wyniki nauczania, to można powiedzieć jedno - szkoda. Znow będziemy budować coś nowego. Podstawa programowa jest tak przeładowana, że uczniowie są zmęczeni i nie są w stanie opanować tego wszystkiego, co się im oferuje. Nauczyciele to widzą. Ale co z tego, skoro nie słucha się głosu nauczycieli. No i nasz protest jest protestem w sprawie dalszego funkcjonowania oświaty. Podwyżka płac jest tylko pewnym elementem. Jeśli bowiem nie ściągniemy do pracy w oświacie nauczycieli pasjonatów, nauczycieli o ogromnej wiedzy, to czeka nas zapaść, bo z oświaty odchodzą ci, doświadczeni nauczyciele. Uzyskują uprawnienia do emerytury i mówią - ani jednego dnia dłużej. A tego wcześniej nie było. Pozycja nauczyciela została sprowadzona do roli osoby ciągle upokarzanej i to z różnych stron, w tym także uczniów, którzy jeszcze kilka lat temu nie pozwalali sobie na takie zachowania, z jakimi mamy do czynienia obecnie. Do tego można dołożyć nieustanne straszenie różnymi skargami. No i kiepski start w życie zawodowe. To co się dziwi, że chętnych do pracy nie ma. Ten strajk ma też zwrócić uwagę i na takie problemy.

- Dziękuję bardzo.

Nagle znaleźli czas na odkrywanie swoich zdolności

Z Jolantą Szeligą-Bujak, kierownikiem klubu Pogodna Jesień oraz członkinią Gorzowskiej Rady Seniorów, rozmawia Renata Ochwat

- Prowadzi pani od 15 lat klub Pogodna Jesień, który przeznaczony jest generalnie dla emerytów. Jaka to część mieszkańców Gorzowa?

- Mniej więcej to jedna trzecia mieszkańców. Podawano różne liczby, bo około 30 tys. ludzi. Natomiast w ubiegłym roku Rada Seniorów policzyła, że było to już 34 tysiące ludzi. A jak doliczyć jeszcze ten rocznik, który przeszedł na wcześniejszą emeryturę, to znów populacja emerytów się zwiększyła. W poczet emerytów liczy się ludzi od 60. roku życia. Natomiast sprawnych, aktywnie żyjących będzie około połowy, choć tego nikt nie zliczył.

- Co emeryt może robić w Gorzowie, tak aby nie siedział w domu? Gdzie może być aktywny?

- Za dużo możliwości taki emeryt to faktycznie nie ma. Z reguły tak jest, że jak idą wybory, to pojawiają się obietnice. Tak było w ubiegłym roku. Bo obiecywano kluby w całym mieście, w tym przy Borowskiego. Ale jak się okazało, przystosowanie tego budynku jest zbyt kosztowne, więc nie ma. Teraz wszystko ucichło i mamy to, co mamy. Ostatnio otwarto środek seniorów w bibliotece, i dobrze. Ale to jest tylko dla 15 osób. To garsteczka zaledwie. Powiem coś niepopularnego w tej chwili. Ten lub tylko rozdzielił innych. No bo niby się ludzie cieszą, ale naprawdę z czego tu się cieszyć, skoro to tylko dla 15 osób, a zapotrzebowanie na takie miejsca, gdzie seniorzy mogą aktywnie spędzać czas. Przydałoby się zatem, aby takie miejsca otwierać w różnych miejscach miasta.

- Ale przecież rozmawiamy w klubie seniora.

- Fakt, ale to jest Miejskie Centrum Kultury i tu kiedyś działał Klub MCK Zodiak, a klub Pogodna Jesień, stricte klub seniorski, działał przy ul. Warszawskiej. Kiedy jednak budynek, w którym mieliśmy siedzibę, zaczął grozić zawaleniem, wówczas MCK zaczął szukać dla nas siedziby. I to był straszny okres, bo nie wiedzieliśmy, co z nami będzie. Ostatecznie trafiliśmy tutaj, na Słoneczną, do Klubu Zodiak. Na chwilę zrobiło się nieciekawie. Bo Zo-



J. Szeliga-Bujak: Najlepiej by było, gdyby udało się stworzyć kluby seniora na wszystkich osiedlach

diak miał swoich uczestników, i to w różnym wieku, a my, Pogodna Jesień, swoich. Ponad rok trwało, nim wszyscy się tutaj dotarliśmy. Potem znów się zmieniło i nie ma obecnie stricte klubu seniora, a jest pewna mieszanka działań. I tak w klubie Zodiak po południu działa klub Pogodna Jesień.

- A co klub Pogodna Jesień może zaoferować seniorom?

- Działają u nas różne zespoły, jak chór lwowski Ta Jój, czyli Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Potem działa zespół Kominiek, który teraz prowadzi pani Wanda Kawka. Jest mój Teatr Seniora Maski i Twarze. I właśnie teraz zaczynamy się intensywnie przygotowywać do Kresowian. Działa też zespół Wena - taki wokalo-instrumentalny, i ja też tam gram. Poza tym mamy sekcję brydża. No i ważne, mamy dwie sekcje komputerowe, mamy salę do tego i proszę sobie wyobrazić, że nasi uczestnicy przychodzą na zajęcia z własnymi laptopami, choć mamy tam komputery. Ale nasi emeryci już wola swoje laptopy. A jakby mało było, to mamy jeszcze choreoterapię, czyli terapię tańcem. Dodatkowo też jeszcze robimy dla wszystkich seniorów, nie tylko uczestników zajęć w

klubie, ale dla wszystkich, różne imprezy okolicznościowe i one się odbywają dwa lub trzy razy w tygodniu, bo takie działania są bardzo oczekiwane.

- Można więc powiedzieć, że emeryci mają jakieś możliwości spędzania czasu, tyle tylko, że jest tego skokowo za mało.

- Oczywiście, że jest to kropla w morzu. Bo oprócz nas działa jeszcze Klub Jedyńka, ale to też są pomieszczone działania, bo i dla dzieci, i dla starszych. Poza tym jest jeszcze osiedlowy Klub U Szefa na osiedlu Staszica.

- No i Uniwersytet Trzeciego Wieku.

- Tak, jest jeszcze UTW, ale tam działają trochę inni ludzie. Tam przede wszystkim zajęcia są płatne. A nie każdego stać. Naprawdę, przy niskich emeryturach nawet takie składki, jakie ma UTW, mogą być zaporą. Poza tym uniwersytet to jednak swoista uczelnia, tam ludzie głównie się uczą, a nie każdy chce się szkolić, woli spędzać czas w inny sposób.

- Pani Jolu, z czego to wynika, że emeryci zaczęli aktywnie spędzać wolny czas?

- Przede wszystkim to nie są ci seniorzy, co kiedyś, przed laty, jak nasze babcie, które generalnie siedziały w

domu i znały drogę jedynie do kościoła. A teraz senior, to młody człowiek, który ma ochotę aktywnie żyć. Taki senior chce potańczyć, pospiewać. Ci ludzie nie mieli możliwości tak żyć, kiedy wychowywali dzieci, więc nadrabiają to na emeryturach. Spotykają się, chodzą po lasach, jeżdżą po świecie, jak ich na to stać. Kiedy przeszli na emeryturę, nagle znaleźli czas na odkrywanie swoich zdolności - właśnie śpiewu, malowania, różnych innych. I teraz właśnie jest czas, aby także te zdolności rozwijać.

- Może warto dodać, że współczesny emeryt nie wygląda jak taki stereotyp emeryta, czyli babusia w chuście i z laseczką oraz podobnie wyglądający pan.

- Dokładnie tak jest. Kiedyś ktoś, kto miał 65 lat, to już był mocno stary człowiek, a dziś 65 lat to druga młodość. Kobiety dbają o siebie, nie w głowach im zakładanie chusteczek, podobnie zresztą jest z panami. Zmieniło się społeczeństwo i o tym też trzeba pamiętać i cieszyć, że tak jest. I dlatego tak palącym problemem są miejsca dla seniorów. I dodam tylko, że to jest naprawdę duża bolączka Gorzowa. Ostatnio czytałam, że w takim Wrocławiu jest bardzo wiele klubów senior-

skich. Oczywiście trudno Gorzów porównywać do Wrocławia, ale proporcje można porównać.

- Działają pani w Gorzowskiej Radzie Seniorów, która za cel stawiała sobie tworzenie właśnie miejsc aktywności dla seniorów.

- Fakt. Stawialiśmy. I cały czas mówimy o tej konieczności. Ale jeśli chodzi o praktyczne działania, to my zbyt wiele nie możemy. Proszę pamiętać, że rada jest ciałem doradczym. Nie mamy żadnych mocy wykonawczych. Przecież rada nie ma żadnych pieniędzy, żadnego budżetu do wydania. Możemy kogoś namówić, aby pomyślał o seniorach, ale tylko tyle.

- A zdarza się, że dla kogoś, kto chce działać, nie wystarcza miejsca?

- Szczęściem nie było takiej sytuacji. Ale trzeba przyznać, że ciasno zaczyna się robić, kiedy mamy jakieś imprezy, na które przychodzi coraz więcej różnych ludzi. Podam przykład walentynki, był wieczór muzyczny w wykonaniu naszych zespołów i przyszło naprawdę bardzo wielu ludzi. Naznosciliśmy do dużej sali wszystkie krzesła, ale i tak było mało. Seniorzy chcą wychodzić z domów, chcą przychodzić na różne imprezy.

- Prowadzi pani Teatr Maski i Twarze, który zyskał

kiedyś recenzje w ogólnopolskich mediach. Seniorzy nadal chcą być aktorami?

- Przy teatrze muszę wspomnieć panią Ludwinę Nowicką, bo to od niej się zaczęło. Właśnie mija 11 lat od jej śmierci. Po jej śmierci dostałam trzy wielkie torby różnych scenariuszy, pomysłów na spektakle. A jeśli chodzi o aktorów - seniorów? Jak mówiłam, na emeryturze ludzie odkrywają różne talenty, w tym także i aktorskie. Można więc powiedzieć, że część emerytów żyje pełnią życia, wykorzystuje możliwości, jakie to życie stwarza. Ale musimy myśleć także i o tych seniorach, którzy już nie mogą wychodzić z domów, bo tacy też są. Część nie może wyjść z domu ze względów fizycznych, a część ma bariery psychiczne, opory przed wyjściem z domu. Tu się uruchamia takie z kolei myślenie - nie wypada, gdzie, ja stara baba się będę pchać. Ale gdyby była odpowiednia animacja, gdybyśmy mieli wolontariuszy pomagających przełamywać takie myślenie, to aktywnych seniorów byłoby znacznie więcej. Jest taki sposób - od drzwi do drzwi. Polega to na tym, że idzie się do takiego emeryta, puka do drzwi, rozmawia i zabiera go ze sobą.

- Kto to powinien robić?

- Przede wszystkim wolontariusze i to wcale nie tylko młodzi, jak się powszechnie myśli o wolontariuszach. Gorzowska Rada Seniorów może podpowiedzieć, gdzie i do kogo iść.

- Sumując, Gorzów potrzebuje miejsc, gdzie aktywnie czas mogliby spędzać emeryci, bo oni tego potrzebują.

- Dokładnie. Najlepiej by było, gdyby udało się stworzyć kluby seniora na wszystkich osiedlach. I powiem, że to byłoby możliwe, bo spółdzielnie mieszkaniowe miałyby takie pomieszczenia, jak nasze. Ale spółdzielnie nie mają ani na remonty, ani na zatrudnianie animatorów, którzy takie kluby mogliby prowadzić. Miałoby na ten temat rozmawiać nie za bardzo chce. No chyba, że będą szły jakieś wybory. Bo wówczas problem emerytów się pojawia.

- Dziękuję bardzo.

Wenecja była restauracją z dancinikiem oraz klasą

Po słynnej restauracji pozostały ślady oraz wspomnienie i żal, że już nie ma tej knajpki na wodzie.



Bywanie w Cafe Voley było rzeczą modną i na topie w przedwojennym Landsbergu...

27 kwietnia 1958 roku w Gorzowie pojawiła się w tym miejscu Wenecja, restauracja której dawno już nie ma, ale jej mit wciąż trwa

I choć jej obraz zaciera się coraz bardziej, mit cały czas trwa.

- No wiem, że tu była knajpa, Wenecja. Moja babcia zawsze o niej mówiła. A ja uważam, że to byłoby coś ekstra, taka restauracja - mówi Agnieszka Kowalska spotkana w parku Wiosny Ludów (bardziej znanym jako park Róż). Obie spoglądamy na mural znajdujący się na budynku przy Kłodawce, który w pewien sposób dokumentuje istnienie legendarnej, bo rozebranej w 1972 roku restauracji.

Zatrzymane w pamięci, zatrzymane w drobiazgu

Wenecja, Polonia, Cafe Voley - miejsce, które cały czas jest obecne w spojrzeniu gorzowian na miasto, jest stale obecna w pejzażu miasta. Przede wszystkim przez wspomniany mural, który w 2010 roku wykonał Jerzy Siczka na zamówienie Urzędu Miasta. I jak to takimi rzeczami bywa, malowidło natychmiast podzieliło oglądających. Jedni wpadli w zachwyt, inni absolutnie nie, krytykowali straszliwie. Gorzowianom malunek się jednak w większości podoba, ponieważ jest i przypomina.

Innym namacalnym i właściwie pierwszym powojennym śladem tej restauracji jest pierwsza po wojnie książka o mieście, czyli Rubież Natalii Bukowieckiej-Kruszony. Już w czasie, kiedy rzecz cała ukazywała się w odcinkach na łamach „Głosu Wielkopolskiego”, świeży, bo dopiero co osiedli gorzowianie, mogli sobie poczytać o wypadkach w „Polo-

nii”, bo tak wówczas nazywała się restauracja na wodzie. Kolejny literacki ślad, zresztą bez nazwy, ale jednak jest, to króciutka wzmianka w fabularnej powieści dla młodzieży Elżbiety Jackiewiczowej „Tancerze”.

Wspomnienie Wenecji pojawia się także w niezliczonych tekstach prasowych, których lawinowo przybyło po 1990 roku, czyli kiedy przyszedł czas na zainteresowanie się regionalizmem, czas poznawania historii własnego miasta.

Jednak najważniejszym śladem, jakie ma to jednak magiczne cały czas miejsce, to własna monografia pod tytułem Cafe Voley, która ukazała się w 2015 roku nakładem Miejskiego Ośrodka Sztuki pod redakcją Zbigniewa Sejwy. I to właśnie to wydawnictwo jest najważniejszym tekstem dedykowanym tej restauracji. Wydawnictwo to ma dziś status białego kruka.

Od Roberta Voleya się zaczęło

Na budowę najpiękniejszej landsberskiej restauracji Cafe Voley zdecydował się na samym początku lat 20. XX wieku znany i doświadczony landsberski restaurator Robert Voley. Nie obyło się bez problemów, ale ostatecznie jednak kawiarnia powstała. Miała nawet scenę, na której mogły występować zespoły artystyczne. I jak pisze Robert Piotrowski we wspomnianej monografii, w Cafe Voley umawiano się na randki, obchodzono ważne rocznice, świętowano prywatne uroczystości, odbywały się tu eleganckie przyjęcia. Bywa-

nie w Cafe Voley było rzeczą modną i na topie, aby użyć współczesnego określenia.

Trudno się dziwić, na zachowanych zdjęciach i pocztówkach restauracja jawi się rzeczywiście jako miejsce bardzo eleganckie, komfortowe i zwyczajnie drogie.

Słynna i popularna restauracja w rękach Roberta Voleya pozostawała aż do wiosny 1939 roku. W maju tegoż stała się własnością Kurta Illingera, choć samo miejsce nazwy nie zmienia.

Ponieważ wybuch i przebieg wojny 1939-1944 miał niewielki wpływ na życie w Landsbergu, można zatem przypuszczać, że życie samej restauracji jakoś drastycznie nie uległo zmianie. Mieszkańcy nadal tu bywali, nadal odbywały się różne spotkania.

Sytuacja ta zmienia się dopiero na początku stycznia 1945 roku. To ten moment, kiedy Landsberg zaczyna odczuwać skutki wielkiej historii, kiedy przez miasto zaczyna się przelewać wielka fala uchodźców uciekających przed Armią Radziecką. Restauracja spowalnia swoje działania, aż do zaprzestania. I tak dobiega końca jej niemiecki rozdział.

Płonie centrum, ale Cafe Voley nie

Styczeń 1945 roku to jednak groza nadchodzącego frontu. I wreszcie nadchodzi feralny 30 stycznia. Feralny dla niemieckich mieszkańców, bo oznacza koniec znanego im miasta. Wkraczają Rosjanie. Idą w kierunku na Kostrzyn od strony Strzelec Krajeńskich. Ciemne, skute mrozem miasto na pewno nie jest m przyjazne.

Oświetlają sobie więc drogę, podpalając kolejne kamienice w centrum. Ginie wiele wspaniałych kamienic, które były znakiem wielkomiejskości Landsbergu. O dziwo, z tej pożogi bez szwanku wychodzi najpiękniejsza landsberska restauracja, czyli Cafe Voley.

Zmienił się jednak czas, zmieniła się wielka geografia, czas na zmiany także i w przypadku Voley.

Słynny landsberski lokal przejmują Franciszek Śmigielski. To nie byle kto, ale kelner, który pracował przed II wojną na flagowym polskim transatlantyku „Batory”. Trudno dziś ustalić, jak to się stało, że właśnie on zajął ten atrakcyjny lokal oraz jak generalnie się znalazł w polskim już Gorzowie.

Ważnym jest, że w Cafe Voley zmieniło się tylko jedno - nazwa. Restauracja bowiem przybrała nazwę Polonia. Ale nadal to był modny lokal, była tu radziecka komendantura miasta, ale też i ci wszyscy, których do Gorzowa, zresztą jak i innych miast ziem zachodnich ściągała legenda Polskiego Dzikiego Zachodu.

Słów parę o gwiazdach

Od samego początku polskiej historii w Polonii występowały gwiazdy, które dodatkowo ściągały restauracyjnych gości. Jak pisze Jerzy Zysnarski w przywoływanej już monografii restauracji, jedną z takich gwiazd miała być Monika Marlicz, lekarka i pisarka. Ale tylko tyle o niej powiedzieć można, bowiem w pomroce dziejów ślad po niej zaginął.

O prawdziwych gwiazdach natomiast można mówić w przypadku dwóch sióstr Didur - Mary Didur-Zaluskiej, hrabiny zresztą oraz Olgi Didur-Wiktorowej. Melomnom samo nazwisko rodowe wiele powie. Tym mniej osłuchanym w klasycie powiedzieć trzeba, że były córkami wielkiego polskiego śpiewaka operowego - Adama Didura i miały za sobą występy na największych scenach operowych świata, w tym w nowojorskiej Metropolitan Opera House oraz mediolańskiej La Scali. Mary Didiur-Zaluska wystąpiła w Gorzowie na pewno, nieco mniej pewna jest obecność jej siostry. A trafiły obie tu za sprawą transportu ocalałych więźniów obozu w Ravensbrück, który trafił tu na leczenie.

Na pewno krótko występował znany polski tenor Adam Raczkowski - potem organizator życia muzycznego na Dolnym Śląsku.

Generalnie, w Polonii występowali wszyscy, którzy pojawiali się w Gorzowie, bo tuż po zakończeniu wojny był to najbardziej prestiżowy, najbardziej liczony się lokal.

Czas Wenecji przychodzi

Polonia funkcjonowała aż do 1948 roku. Wówczas lokal upaństwowiono i zamknięto. Dziesięć lat stoi zamknięta naглуcho. A do życia wraca, za sprawą Spółdzielni Usług Różnych, 27 kwietnia 1958 roku, już jako Wenecja, restauracja z dancinikiem. Dziwnym nie jest, że natychmiast się przyjęła. I znów, jak za landsberskich czasów, znów to był najbardziej modny lokal. Zasłynął

przede wszystkim z popularnych w tym czasie danciników oraz gry uznanego już wówczas zespołu muzycznego Mariana Klausy. Ważne miejsce spotkań gorzowskiej młodzieży.

W latach 60. na śniadania (jajecznica na boczku, parówki) zachodzili prokuratorzy z prokuratury, która mieściła się w budynku obecnej biblioteki nad Kłodawką. Wieczorami schodzili się aktorzy, żużlowcy oraz studenci Studium Nauczycielskiego (wódka i wina węgierskie). O godz. 17 były także popularne wtedy „fajfy”. Podobno podczas jednego z rock and rolli złamała się deska w podłodze. Tancerze zobaczyli zgnite belki podtrzymujące parkiet sali. Mimo tak dużej popularności kawiarni Spółdzielnia Wielobranżowa nie zadbała o stan techniczny budynku, chociaż w połowie lat 60. prowadzono regulację brzegów Kłodawki, i można było wzmocnić lub zmodernizować posadowienie sal.

Mimo popularności lokalu, jego drewniana konstrukcja nie doczekała się remontu i z końcem 1969 roku, ze względu na zły stan techniczny drewnianej werandy, Wenecja została zamknięta. W latach 1970-1971 lokal został rozebrany.

Ci, którzy pamiętają to miejsce ze swoich tam pobytów, mówią jedno - eleganckie miejsce i trzeba było się tam pokazywać.

ROCH

Korzystałam między innymi z „Cafe Voley”, red. Zbigniewa Sejwy, Gorzów Wielkopolski 2015 oraz publikacji internetowych.

Z powrotem między słupkami

Krzysztof i Jacek Skrzyńscy od lat są ze Stilonem na dobre i złe.

W czasach, kiedy piłkarski Stilon występował w drugiej lidze, bramki niebiesko-białych przez wiele lat bronił Krzysztof Skrzyński. Teraz w gorzowskim klubie między słupkami występuje jego syn Jacek, który powrócił do bramki po dłuższej przerwie. Obaj mocno związani ze Stilonem, zarówno w lepszych, jak i gorszych czasach tego zasłużonego klubu. Krzysztof Skrzyński jest wychowankiem Stilonu i trafił do pierwszego zespołu bardzo szybko.

- Dołączyłem do kadry pierwszej drużyny w wieku 18 lat w roku 1982, gdy bramki Stilonu bronił Ryszard Sambor oraz Zbigniew Bartosz. Ten ostatni był dla mnie wzorem do naśladowania. Debiut na boiskach drugoligowych miałem wyjątkowy i miało to miejsce na stadionie Lechii Gdańsk w roku 1983, która po zdobyciu Pucharu Polski przygotowywała się do meczu ze słynnym Juventusem Turyn. Spotkanie to, przy ponad 20-tysięcznej widowni, zakończyło się remisem 1:1 - wspomina Krzysztof Skrzyński.

W Stilonie często dochodziło do rozsadu na stanowisku trenera, lecz Skrzyński cieszył się zaufaniem kolejnych szkoleniowców niebiesko-białych i rozegrał ponad 100 spotkań na poziomie drugiej ligi. Najlepiej wspomina trenera, który w latach 80-ych XX wieku pracował najdłużej w Gorzowie.

- Niewątpliwie najlepsze wspomnienia mam z legendą Stilonu, z trenerem Eugeniuszem Ksolem. Był on najbardziej sprawiedliwym i uczciwym trenerem, z jakim się spotkałem. Nie skreślał nikogo z góry, a poprzez ciężką pracę na treningu można było otrzymać miejsce w składzie. Choć pamiętam, że miał też swoich ulubieńców i zawsze mieli oni pewne miejsce w składzie. Chodzi tu o Zenka Burzawę i Jacka Dudka - przypomina były bramkarz Stilonu.

Starsi kibice Stilonu do dziś zastanawiają się, dlaczego ich ukochany zespół nie awansował do najwyższej klasy rozrywkowej.

- W tamtym okresie zdarzały się dziwne sytuacje, jak się grało na wyjeździe, to można było się spodziewać gospodarskiego sędziowania. Awanse i spadki nie zawsze odbywały się w uczciwej rywalizacji, a kolejki cudów były na porządku dziennym. Co do spekulacji, że my nie chcieliśmy awansować wyżej, gdyż baliśmy

się o miejsce w składzie, to nic takiego nie miało miejsca. Graliśmy przecież o swoje premie czy nowe kontrakty, były wprawdzie szanse awansu, ale zawsze czegoś brakowało - dodaje Krzysztof Skrzyński.

„Skrzynia”, bo tak był nazywany przez kibiców oraz kolegów z drużyny, miał także trudne chwile w Stilonie, gdy na początku lat 90-ych XX wieku został odsunięty od pierwszego zespołu.

- Kiedyś odmówiłem grania w meczu ligowym, gdyż klub nie wywiązywał się z realizacji zapisów kontraktowych. Zostałem zawieszony na 1,5 roku i nie mogłem trenować z pierwszą drużyną, którą prowadził trener Mieczysław Broniszewski. Później to zawieszenie mi zmniejszono, ale niestety wychowanków w Stilonie traktowano zawsze inaczej. W czasie mojego zawieszenia na dobre zaczął bronić Jarek Stróżyński - przypomina były golkeeper.

Wychowanek gorzowskiego klubu miał kilka propozycji z innych klubów, ale ostatecznie dopiero pod koniec kariery zmienił barwy klubowe.

- Działacze pierwszoligowego wówczas Górnika Wałbrzych chcieli bardzo, abym u nich występował. Przez dwa dni pod moim mieszkaniem stał samochód służbowy z kierownikiem wałbrzyskiej drużyny, który namawiał, żeby z nim pojechać do Wałbrzycha. Zagrałem nawet tam w okresie przygotowawczym w turnieju o Puchar Zimy. Oferowali mieszkanie, talon na samochód i pensję górnika przodowego, ale nie było zgody na transfer ze strony Stilonu. To były inne czasy i często działacze stawiali zaporowe ceny, aby uniemożliwić przejście do innego klubu. Dopiero pod koniec kariery występowałem w Lechii Gdańsk i był to dobry okres. Grałem tam cały czas i poczułem w Gdańsku pewność i szacunek do swojej osoby. Wtedy pojawiła się m.in. oferta pana Ptaka z Łodzi o grę w ŁKS, gdzie miałem być drugim bramkarzem, gdyż pierwszym był Bogusław Wyparło. Szkoda, że nic z tego nie wyszło, bo akurat wtedy ŁKS został mistrzem Polski i w europejskich pucharach rywalizował ze słynnym Manchesterem United. Dalej utrzymuję zresztą kontakty z kolegami z Gdańska. Potem jeszcze miałem epizod w drugoligowym Jezioraku Iława, a zakończyłem granie w Drawie Krzyż - wspomina.



Krzysztof i Jacek Skrzyńscy, czyli ojciec i syn razem w Stilonie

Po zakończeniu przygody z piłką Skrzyński krótko odpoczął, następnie rozpoczął własną działalność gospodarczą. Długo jednak bez piłki nie wytrzymał i rozpoczął pracę, jako trener bramkarzy w Gorzowskim Klubie Piłkarskim, który występował w pierwszej lidze. Tam później trafił jego syn Jacek. Młodszy z rodu Skrzyńskich często, jako dziecko obserwował treningi i mecze taty. Jacek połączył piłkarskiego bakcyła i postanowił tak, jak tata być bramkarzem, a dość szybko otrzymał szansę treningów w wielkim polskim klubie.

- Trafiłem na staż do Legii ze szkółki z Szamotuł, z której to do stolicy przyszedł kiedyś przecież Łukasz Fabiański i po tygodniu treningów spodobałem trenerowi Dowhaniowi, który zaproponował, abym pojechał z pierwszą drużyną na obóz. Ten okres bardzo dobrze wspominam - od razu po przyjeździe do Legii, jako 15-latek pojechałem właśnie z pierwszą drużyną, która była mistrzem Polski, na obóz do Wronek. To było dla mnie ogromne przeżycie trenować z takimi utytułowanymi zawodnikami. W późniejszym okresie, w czasie jednego z obozów, mieszkaliśmy w pokoju z Robertem Lewandowskim, który nie przebił się wtedy do Legii. W sumie w ciągu kilku lat pobytu w Legii rozegrałem około 30 spotkań w Młodej Ekstraklasie oraz czwartoligowych rezerwach czy też w Pucharze Polski. Trochę teraz żałuję, że tam nie zostałem, gdyż w Legii proponowali mi pięcioletni kontrakt, ale ja chciałem grać, a nie siedzieć na ławce lub bronić tylko w rezerwach

i ostatecznie wyładowałem w Dębnie w trzeciej lidze, gdzie trenerem był Zenon Burzawa - wspomina Jacek Skrzyński.

Postawa Skrzyńskiego w Dębnie została szybko zauważona w Gorzowie, gdzie w pierwszej lidze występował Gorzowski Klub Piłkarski. Tu trafił pod skrzydła trenerskie rodzica i wcale nie miał z tego powodu taryfy ulgowej.

- Nie za bardzo chciałem przychodzić do Gorzowa i trenować z tatą, bo wiadomo, że nie jest to komfortowa sytuacja, a wiele ludzi mówiło, że tata mnie tu pcha i mogły być różne domysły, że gram gdyż tato jest tu trenerem. Ostatecznie prezes Komisarek wykupił moją kartę z Legii Warszawa i pojawiłem się w rodzinnym mieście - dodał młodszy ze Skrzyńskich.

Skrzyński nie zagrał jednak zbyt wielu spotkań w pierwszej lidze w barwach GKP.

- Trenerzy Topolski oraz Pawlak faworyzowali Sławka Janickiego i mimo, że słyszałem, często, iż jestem lepszy na treningach to w meczach nie zagram. Później wywalczyłem miejsce w pierwszym składzie, a Janicki siedział na ławce. Natomiast po przegranym pojedynku z Flotą Świnoujście, za trenera Pawlaka, zostałem uznany głównym winowajcą porażki. I szybko dorobiono legendę, że Janicki musiał chwilę odpocząć i tylko dlatego zagrałem kilka spotkań - odtwarza z pamięci Jacek Skrzyński.

Ostatecznie pierwszoligowa piłka przestała istnieć w Gorzowie w roku 2011, a Jacek Skrzyński trafił do pierwszoligowej Wisły Płock.

- Były jakieś rozmowy z Zagłębiem Lubin, które prowadził Jan Urban, który znał mnie z treningów z Warszawy. Byłem także na testach w Jagiellonii Białostok, gdzie trenowałem z Grzegorzem Sandomierskim czy Kubą Słowikiem. Ostatecznie jednak po namowach trenera Broniszewskiego trafiłem do Płocka, który zapewniał mi, że tam będę miał dobre warunki. W Płocku jednak na drugim treningu doznałem groźnej kontuzji, wkrótce zwolniono także trenera Broniszewskiego. Klub zaczął mi robić pod górkę, pojawił się nowy trener i dochodziło do kuriozalnych sytuacji. Przykładowo nie mogłem jeść obiadów na stołówce klubowej z pierwszą drużyną, gdyż... za dużo jadłem, tak usłyszałem. Czeski trener Wisły zabronił mi już po operacji, w czasie rehabilitacji, nawet przebiegać się w szatni z pierwszą drużyną. Doszło zresztą do tego, że nie mogłem rehabilitować się w klubowej salce i ostatecznie rozwiązałem kontrakt - dodaje Jacek Skrzyński.

Kontuzja Skrzyńskiego okazała się dość groźna, do tego zła była diagnoza lekarska. Kolejne operacje i wizyty u kolejnych lekarzy spowodowały, iż celem Jaceka był powrót do zdrowia, a ponowne występy na boisku były tylko marzeniem.

- To był trudny czas, pracowałem w Niemczech na budowie, w firmie u kolegi taty, aby zarobić na kolejne operacje. Niestety nie dostałem żadnych pieniędzy z ubezpieczenia, gdyż mówiono, że mi się nie należą, gdyż jest to stan chorobowy, a nie kontuzja. Zaciśnąłem zęby i bardzo chciałem wrócić do piłki. Zostałem trenerem bramkarzy w Stilonie, ale cały czas w głowie kielkowała myśl, aby jeszcze poczuć atmosferę rywalizacji na boisku.

Skrzyński po siedmiu latach rozbratu z profesjonalną piłką postanowił wrócić między słupki, a pierwszym oficjalnym spotkaniem o stawkę był mecz derbowy z Wartą Gorzów w sierpniu 2018 roku.

- Dla mnie było to duże przeżycie wrócić po tylu latach i po tylu perypetiach do piłki. Rzadko się takie powroty zdarzają, a zwłaszcza po takiej przerwie. Przy swojej sytuacji mogę tylko zacytować Andrzeja Kostyrę, który o powracających do sportu bokserach mówił, że jedną nogą byli w trumnie, a drugą na skórcie od banana. Ja się

cieszę, że z powrotem stoję między słupkami.

A jak na powrót syna do bramki zareagował jego ojciec?

- Jacek to, co miał wychorować, to wychorował. Ja się cieszę z tego, że on się cieszy, że może grać. Byłem w rundzie jesiennej na kilku meczach Stilonu i muszę powiedzieć, że bardzo się denerwuję. Cały czas mu jednak powtarzam, żeby znalazł również czas dla rodziny, bo tych zajęć ma dużo - powiedział Krzysztof Skrzyński.

Mimo że Stilon zajmuje ostatnie miejsce w tabeli, to Jacek Skrzyński wierzy w utrzymanie w gronie trzecioligowców. Tym bardziej, że wróciło kilku niezłych zawodników i jestem optymistą. On sam, aby nadrobić przede wszystkim zaległości motoryczne, trenuje cztery razy w tygodniu ze Stilonem, do tego dochodzą cztery treningi indywidualne, głównie na siłowni. Jego grafik oprócz niedzieli jest zapełniony, gdyż dodatkowo od niedawna został opiekun młodych stilonowców z rocznika 2007. Golkeeper Stilonu ma skonkretyzowane plany na przyszłość i chce być trenerem bramkarzy z prawdziwego zdarzenia. Dlatego często wyjeżdża do Białej Podlaskiej do Szkoły Trenerów PZPN na specjalistyczne kursy bramkarskie. Tam jest chwalony przez trenera Dawidziuka za formę bramkarską w trakcie ćwiczeń praktycznych, a koledzy trenerzy z kursu pytają czy nie chciałby zmienić klimatu i zagrać w innym klubie. Od ponad roku Jacek prowadzi również treningi z młodymi adeptami piłkarstwa na własny rachunek.

- Prowadzę wraz z tatą szkółkę bramkarską, robimy coś fajnego, mamy pod swoją opieką już ponad 30 młodych bramkarzy w wieku 11-13 lat i w tej chwili więcej chłopców nie przyjmujemy. W tym widzę swoją przyszłość, czyli w zawodzie trenera bramkarzy, tym bardziej, że całe życie wychowywałem przy piłce i jeszcze poszło to zamilowanie po rodzinie, to nie może być inaczej - kończy Jacek Skrzyński.

Jacek cały czas ma wsparcie ze strony taty Krzysztofa, który zresztą całkiem niedawno wszedł wraz z m.in. Zenonem Burzawą i Krzysztofem Wozińskim w skład Rady Trenerów Stilonu. Skrzyńscy, jak można zauważyć, są ze Stilonem na dobre i złe.

PRZEMYSŁAW DYGAŚ

Najważniejsze są jak najwyższe

Ze Stanisławem Chomskim, trenerem żużlowców trully.work Stali Gorzów, rozmawia Robert Borowy

- Zanim porozmawiamy o zbliżającym się sezonie, wyjaśnijmy na czym polegają i jak ważne są przygotowania zimowe?

- Jeżeli chodzi o teorię sportu, to w każdej dyscyplinie pewne przygotowania są do siebie zbliżone. Po okresie startowym następuje tak zwany okres przejściowy, niektórzy nazywają to roztrenowaniem. Chodzi o to, żeby w sposób łagodny obniżyć poziom sportowy, by organizm mógł się zregenerować. W razie potrzeby, w tym okresie leczy się ponadto wszelkie mikrourazy i generalnie wypoczywa. W przypadku gorzowskich żużlowców od lat przyjmujemy, że ten czas odpoczynku powinien trwać do końca listopada.

- Z ilu etapów składają się przygotowania?

- Zaczynamy na początku grudnia i ten podział składa się, umownie mówiąc, z czterech etapów. Pierwszy to okres przygotowania ogólnego, potem wchodzimy na pracę ukierunkowaną i specjalistyczną. Pierwsze dwa etapy wiążą się z zajęciami fizycznymi, natomiast trzeci z pracą ze sprzętem oraz jazdą na motocyklach crosso-owych, ale też innymi zajęciami związanymi z wyrobieniem szybkości, gibkości, refleksu. Ostatnim etapem jest okres przedstartowy, w którym właśnie się znajdujemy.

- Dlaczego pierwsze jazdy na torze odbywają się indywidualnie?

- Zawsze należy rozpocząć od jazdy indywidualnych, celem których jest przypomnienie techniki ułożenia ciała na motocyklu oraz zaadaptowanie partii mięśniowych do określonego rodzaju wysiłku. Zawodnicy nie



St. Chomski: W obowiązującym w polskiej lidze systemie najważniejsze są jak najwyższe zwycięstwa na własnym torze

mają z tym oczywiście większego problemu, ponieważ po wcześniejszej pracy fizycznej organizmy zawodników są bardzo wydolne. Z każdym kolejnym treningiem zwiększa się im stopień trudności poprzez ciągłą jazdę przez kilka okrążeń, potem w dwójkach, czwórkach i wreszcie spod taśmy. Jak już zawodnicy są odpowiednio przygotowani zaczynają się jazdy kontrolne i sparingi.

- Na którym etapie zawodnicy zaczynają się skupiać na testowaniu sprzętu?

- To zależy od zawodnika, ponieważ po półrocznym po-

wrocie na tor każdy musi przypomnieć sobie czucie pracy motocykla. I kiedy dopiero wyczuje go zaczyna analizować, co należy poprawić, na co zwrócić uwagę. Korzystanie z wcześniejszych doświadczeń nie zawsze może przynieść oczekiwany efekt. To co idealnie pasowało w poprzednim sezonie wcale nie musi sprawdzić się w nowym. Mogłbym podać wiele przykładów, że komuś jeden silnik sprawował się rewelacyjnie pod koniec sezonu, a na początku nowego stracił wszystkie atuty, pomimo, że nic nie było ruszane. Wpływ na ta-

kie sytuacje ma wiele rzeczy, poczynając od wilgotności materiału, temperatury otoczenia czy składu nawierzchni. Dlatego prace nad dopasowaniem sprzętu zawodnicy rozpoczynają z chwilą, kiedy już dobrze czują się na motocyklu po zimowym powrocie na tor.

- Już w pierwszych dniach marca w wielu ośrodkach trenowano, pan jednak nie przyspieszał wyjazdu zawodników na gorzowski tor. Dlaczego?

- Pogoda na przełomie lutego i marca rzeczywiście nas miło zaskoczyła, ale nie chcieliśmy niczego robić na

siłę, ponieważ wcześniej mieliśmy rozplanowane sprawy z przygotowaniem samego obiektu. Nie tylko w zakresie torowym, ale także przygotowania bandy kinetycznej, którą wykonywała firma zewnętrzna. Oczywiście, że można było wszystko na siłę przewrócić do góry nogami, ale nie miało to większego sensu. Zawodnicy, którzy byli przygotowani do wyjazdu na tor i bardzo ich kociło do tego wyjazdu poradzili sobie, jadąc na pierwsze zajęcia do Witostocku, potem w szerszej grupie pojechaliśmy do Ostrowa. Inni zaś realizowali swój plan treningowy i nie chcieli go rozbijać szybszym wyjazdem.

- Pogoda w pierwszej połowie marca nie była najlepsza i przez to nie udało się wyjechać w Gorzowie na tor. To opóźnienie może mieć wpływ na przygotowanie zespołu?

- Rezerwa czasowa jest cały czas, ale najważniejsze w tym wszystkim jest zawsze to, że jak ktoś już zaczyna trenować na torze, musi to czynić systematycznie. Przez to niektórzy opóźniają takie wyjazdy, woląc trenować na motocyklach crosso-owych. Inni, jak Bartek Zmarzlik, chcieli szybko to uczynić nie po to, żeby pokręcić sobie kółka, ale żeby być przygotowanym do jazdy na naj-

wyższym poziomie jak najszybciej. Skoro w Gorzowie nie mieliśmy najlepszej pogody to każdy radził sobie jak mógł. Duńczycy trenowali w Gorzowie, Zmarzlik z Woźniakiem pojechali do Krska, Kasprzak jeździł w Opolu. Pod tym względem nie ma żadnych opóźnień, a teraz wyjeżdżamy na tor w Gorzowie i kontynuujemy treningi już u siebie.

- Gorzowskich kibiców bardzo interesują nowe nabytki klubu. Jak zaaklimatyzowali się Peter Kilde- mand i Anders Thomsen w naszym zespole i czy będą dobrze przygotowani do rozgrywek ligowych?

- Co do aklimatyzacji to raczej tutaj problemów nie widzę, podobnie jeżeli chodzi o przygotowanie fizyczne. Natomiast najważniejsze w ich przypadku będzie przygotowanie sprzętowe. Można wydać sporo pieniędzy i, mówiąc kolokwialnie, nie trafić w sprzęt. Można także nie mieć odpowiedniego czucia, o którym wspominałem, żeby dostroić motocykle do odpowiedniego wysokiego poziomu. Powiem wprost, że cały czas się poznajemy, ważna jest ponadto komunikacja w drużynie. Dlatego bardzo ważna będzie tutaj rola innych zawodników, w tym Krzyśka Kasprzaka, Szymka Woźniaka i nowego kapitana Bartka

reklama

MOTO KORD
FIRMA MOTORYZACYJNA

SKLEP MOTORYZACYJNY

- części zamienne do wszystkich marek
- oleje, filtry
- akumulatory
- opony
- akcesoria

AUTO SERWIS

- diagnostyka komputerowa
- naprawy mechaniczne i elektryczne
- przygotowanie do rejestracji
- wymiana opon i wyważanie kół

66-400 Gorzów Wlkp.
ul. Marcinkowskiego 14 c
(koło pętli autobusowej)
tel. 95 729 05 25
602 154 826

ZAPRASZAMY!

zwycięstwa na własnym torze

Zmarlika. Uczulałem ich, żeby w każdym momencie starali się pomóc chłopakom, choć musimy pamiętać, że żużel jest sportem indywidualnym i każdy jest rozliczany osobno. Przez to praktycznie wszystko będzie zależało od nich.

- Wierzy pan w Kildemanda, który po świetnych sezonach najpierw w Częstochowie, potem w Rzeszowie, wpadł w duże turbulencje i od kilku sezonów nie spełnia pokładanych w nim nadziei.

- Dla niego jest to chyba ostatni sezon, w którym może wysłać sygnał do środowiska żużlowego, że jest nie tylko zawodnikiem na miarę PGE Ekstraligi, ale i posiadający duże ambicje sportowe, sięgające ponownej walki o miejsce w Grand Prix.

- Co mogło być przyczyną, że zawodnik o sporych umiejętnościach tak się zablokował, że od kilku sezonów nie może pokazać swojej dużej wartości?

- Powodów może być sporo i nie chciałbym tutaj spekulować. Powiem tylko tyle, że każdy zawodnik będący w danym środowisku musi czuć się jego częścią. Jeżeli poczuje, że jego obecność ma istotny wpływ na jakość funkcjonowania drużyny łatwiej będzie mu dać z siebie maksimum. W innym przypadku szybciej się zniechęca, traci motywację. To zresztą dotyczy każdej dziedziny życia, nie tylko sportu. Oczywiście problemy akceptacyjne mogą brać się także ze słabej formy sportowej. Przez to sytuacja szybko staje się złożona i naj-

piej rozwiązuje się ją w praktyce. Najwięcej zależy od samego zawodnika i jego podejścia, chęci. Jeżeli Kildemand wykaże takie chęci to wierzę, że pomożemy mu powrócić na wysoki poziom.

- Anders Thomsen jeszcze trzy lata temu na równi walczył z Bartkiem Zmarlikiem o indywidualne mistrzostwo świata juniorów. Nie zdecydował się jednak wtedy na starty w PGE Ekstralidze, co zapewne zahamowało jego karierę. Stać go jeszcze na osiągnięcie poziomu zbliżonego do aktualnego wicemistrza świata?

- Potencjał ma, ale musimy pamiętać, że Duńczyk jako nacja żużlowa, w tej chwili przechodzą pewien kryzys. Wynika on z bardzo mocnego obniżenia poziomu sportowego w kraju. Liga tam straciła na jakości, coraz mniej drużyn w niej startuje. Brakuje pieniędzy, sponsorów i trudno zawodnikom jest się wybić. Thomsen bardzo chciał się przebić do czołówki światowej, ale jego starty w Polsce szybko pokazały mu, że do wszystkiego musi dochodzić powoli. Dopiero po trzech sezonach spędzonych w Nice 1. Lidze Żużlowej dojrzał do tego, żeby spróbować sił w PGE Ekstralidze. Przed nim trudne zadanie poznania nowych torów i podjęcia walki z najlepszymi na świecie. Sprzętowo poradzi sobie, bo poza grupą walczącą o mistrzostwo świata reszta ma podobne silniki, choć często bywa, że to sprzęt buduje i sprzęt rujnuje zawodnika. Myślę, że najwięcej będzie zależało od samego jego po-

dejścia. Osobiście bardzo liczę na niego, ale zobaczymy na torze, co wniesie on do drużyny. (...)

- Tegoroczny sezon ligowy zapowiada się bardzo atrakcyjnie. Pamięta pan sezon, w którym tak naprawdę wszyscy najlepsi żużlowcy świata jadą w PGE Ekstralidze?

- Gdybyśmy dokładnie prześledzili każdy rok z osobna, to myślę, że znaleźlibyśmy podobne lata. Oczywiście to dobrze, ale ja będę się upierał, że nadal brakuje decyzji o powiększeniu najwyższej klasy rozgrywek. Ta nasza liga jest w czasie krótka, jest stanowczo za mało pojedynków, choć rozumiem, że jest bardzo atrakcyjna, gdyż praktycznie każde spotkanie jest o wszystko. Niektóre drużyny na własnym stadionie odjadą jednak tylko po siedem meczów i w sierpniu udadzą się na wakacje. Jaki jest w takim razie cel wydawania przez samorządy wielkich pieniędzy na budowę lub modernizację stadionów, skoro w roku jest tak mało ligowych zawodów? Coś jest nie tak. Budujemy pomniki dla tak małej liczby imprez? Dla mnie jest to rozrzutność. A koszty ciągle rosną. Teraz trzeba nawet środek murawy doświetlić, bo kamera przechodząc przez ten fragment stadionu wpada w cienie. Ja to rozumiem i popieram rozwój infrastruktury, ale nie dla tak małej liczby zawodów w sezonie. Owszem, czasami wskoczy jakiś turniej, memoriał, ale są to sporadyczne wydarzenia. Ponadto wiele ośrodków jest przygotowanych do startu w najwyższej

klasie rozgrywek, ale brakuje dla nich miejsca i muszą smażyć się we własnym sosie.

- Jakie ośrodki ma pan na myśli?

- Choćby Łódź czy Rybnik. Kolejna sprawa, mała liczba drużyn zawsze będzie negatywnie działać na beniaminków, którzy corocznie mają kłopoty ze zmontowaniem dobrego składu. Dzisiaj, kto nie zbuduje drużyny, przynajmniej na papierze, na play off, musi drzeć, żeby nie spaść, bo różnica pomiędzy czwartym a ósmym może być minimalna na koniec rundy zasadniczej. Dalej, jedna kontuzja może ustawić cały sezon. To nie jest dobre. Przy większej liczbie meczów, większej rotacji zawodników łatwiej jest przetrwać trudniejszy moment.

- Przeciwnicy powiększenia PGE Ekstraligi od razu wysuwają argument o zbyt małej liczbie żużlowców przygotowanych do jazdy na tym szczeblu rozgrywek?

- Trzeba tych zawodników wychowywać, aczkolwiek jest z tym duży problem, gdyż żużel nie jest sportem masowym. Jest to sport zamknięty, rodzinny, bardziej dla hobbystów niż młodych ludzi przychodzących z podwórek. Dlatego najlepszym rozwiązaniem jest powrót do średniej meczowej.

- A co z niższymi ligami w przypadku powiększenia tej najwyższej?

- Najrozsądniejszym działaniem byłby oczywiście powrót do dwóch lig.

- Czy dobrze, że wszystkie mecze ligowe będą transmitowane na żywo w

dwóch stacjach telewizyjnych, także w piątce?

- Wydaje mi się, że dla kibiców mecze w piątce będą pod wieloma względami atrakcyjne. Zwłaszcza, jeżeli chodzi o spotkania wieczorne. Praktycznie wszyscy będą mieli już czas wolny, przed sobą weekend, nigdzie nie będzie im się śpieszyło, a po meczu będzie jeszcze czas na celebrowanie. Z niedzielnymi pojedynkami, głównie tymi rozgrywanymi o późnej porze, problem tkwi z powrotem do domu. Dlatego wielu kibiców z dalszych miejscowości nie przyjeżdżało. Kiedy spojrzymy na piłkę nożną, rozgrywaną w dni powszednie, nie widzimy, żeby frekwencja na tym ucierpiała. Mam nadzieję, że żużel też nie straci. Swoją drogą trudno walczyć ze zmianami, bo skoro telewizja weszła tak głęboko do sportu, to musimy to zaakceptować. Cieszę się, że w Gorzowie bez względu na transmisję telewizyjną frekwencja zawsze jest wysoka i oby tak pozostało w nadchodzącym sezonie.

- W ostatnich trzech latach wywalczył pan ze Stalą komplet medali. Najpierw było złoto, potem brąz, a w zeszłym roku srebro. Wystarczy jednak słabszy dzień, a kibice mogą szybko o sukcesach zapomnieć. Czuje pan już stres związany ze zbliżającą się inauguracją ligową?

- Nie, w tej chwili skupiam się na pracy, natomiast im bliżej będzie pierwszych meczów zapewne ten stres w jakiejś formie się objawi. Oby niósł on pozytywną

energii. Co do kibiców to naturalnym jest, że w chwilach zwycięstw cieszą się, w przypadku porażek smucą i narzekają. Przystępujemy do sezonu z nadziejami i obawami. Myślę, że w każdym klubie tak jest, bo ten sezon zapowiada się rzeczywiście ciekawie. W mojej ocenie nie ma pewniaków do niczego. Ani do medali, ani do spadku. Ponadto dla jednych brak mistrzostwa będzie porażką, dla innych utrzymanie się będzie sukcesem. Każdy zostanie inaczej rozliczony nie tylko przez właścicieli klubów, prezesów, ale przede wszystkim własnych kibiców. W naszym przypadku poprzedzka w ostatnich latach została zawieszona bardzo wysoko, co nie ułatwia zadania, ale trzeba walczyć. Nie jesteśmy stawiani w gronie faworytów, są tacy, którzy uważają, że bezpieczne utrzymanie się w lidze będzie naszym sukcesem. Życie zweryfikuje wszystko. Mogę powiedzieć tylko, że mamy większe ambicje niż samo utrzymanie.

- Co będzie kluczem do osiągnięcia zakładanego celu?

- W obowiązującym w polskiej lidze systemie najważniejsze są jak najwyższe zwycięstwa na własnym torze. Oczywiście na wyjazdach też trzeba spróbować ograć rywali, ale jeżeli przegrywać, to jak najniżej i zbierać bonusy. Najważniejszy jest awans do czwórki, samo miejsce nie jest aż tak ważne. Liczyć się będzie bardziej dyspozycja w play off.

- Dziękuję za rozmowę.

• Więcej sportu każdego dnia na stronach www.echogorzowa.pl •

reklama



**Tylko u nas paliwa najwyższej jakości
gwarantowane przez firmę LOTOS
PKS Gorzów, ul. Podmiejska 20**



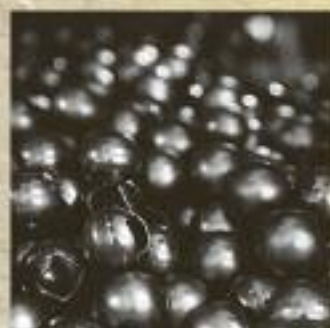
Przyjedź, zatankuj, korzystaj z karty rabatowej!

r e k l a m a

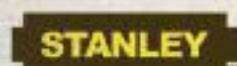
**METALPLAST**

**Błogosławionych
Świąt Wielkanocnych!**

Niech zwycięski Chrystus
obdarzy nas pokojem,
zdrowiem i radością,
udzieli potrzebnych łask,
wniesie szczęście
do każdego domu
i sprawi, by w naszym
życiu zwyciężały
miłość i nadzieja!



**HYDRAULIKA | NARZĘDZIA | ELEKTRONARZĘDZIA | ELEMENTY ZŁĄCZNE | ZAWIASY
ELEMENTY OGRODZENIOWE | AUTOMATYKA DO BRAM | AKCESORIA MEBLOWE I DRZWIOWE**



METALPLAST GORZÓW WLKP.

ul. Garbary 9, tel. 95 78 33 151, fax 95 720 53 10 w. 24

www.metalplastgorzow.pl, market@metalplastgorzow.pl

godziny otwarcia: 8⁰⁰-18⁰⁰, sob. 9⁰⁰-14⁰⁰

